NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 17 listopada 1906 r. Nr. 46.

Zamach na pociąg pocztowy.

(Treść na stronie 2).

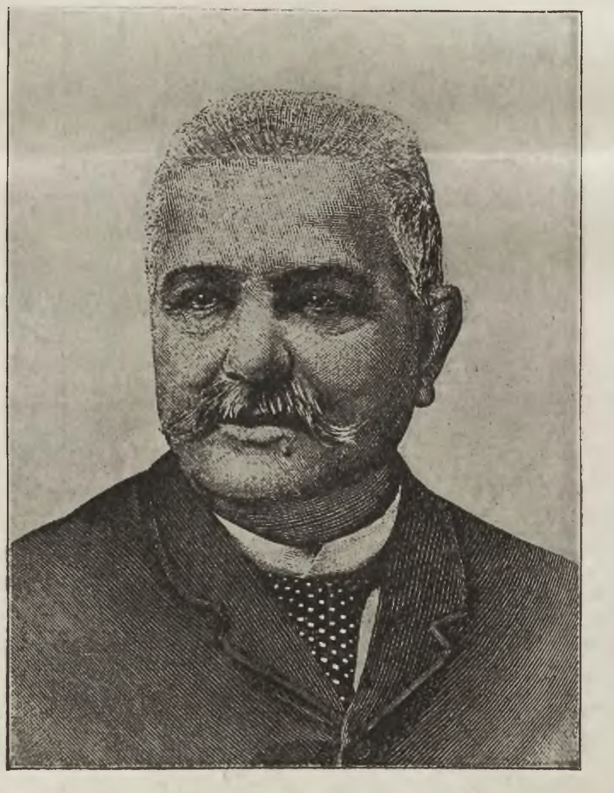


Zamach na pociąg pocztowy.

(Do illustracyi tytułowej).

Wstrząsające wrażenie wywołała w tych dniach wiadomość o zbrojnym napadzie na pociąg pocztowy na stacyi Rogów kolei warszawsko wiedeńskiej między Koluszkami a Skierniewicami, w okolicy ziemiańskiej i rolniczej Królestwa. A był to już czwarty z rzędu wielki napad partyj bojowych na fundusze rządu w Królestwie: w pierwszym zrabowano 580 tysięcy rubli w Wysokiem Mazowieckiem, w czasie drugiego napadu na stacyi Herby zabito dwóch generałów; skutkiem trzeciego wreszcie pod stacyą Pruszków rząd poniósł stratę w sumie 200 tysięcy rb. Teraz w Rogowie zrabowano kilkadziesiąt tysięcy, a w pierwszej chwili wyobrażano sobie nawet, że suma porwanych przez bandytów pieniędzy, wynosi około miliona rubli. Oto jaki był, według relacyj świadków naocznych, przebieg zamachu, obmyślanego w najdrobniejszych szczegółach:

Była godzina 7.45 wieczorem, gdy po odejściu z Rogowa pociągu łódzkiego; zatrzymał się na stacyi pociąg pocztowy idący z Granicy, do Warszawy. Wtedy jednocześnie wewnątrz dworca wszczął się hałas, a na torze huk olbrzymi wstrząsnął powietrzem: to wybuchem bomby wysadzony wyleciał w górę wśród dymu i ognia jeden z wagonów pociągu. Cały dworzec napełnił się uciekającymi w popłochu z peronu i z pociągu oficyalistami kolejowymi, którzy zaraz wszyscy padli plackiem na podłogę. A był już czas najwyższy zachować taką ostrożność, bo naraz wśród trzasku salw i brzęku tłuczonych przez nie szyb w oknach i drzwiach, kule z karabinów Mausera i brauningów zaczęły latać po całym obszarze dworca. Cóż się okazało? Oto w chwili stawania pociągu na stacyi wkroczyła na nią z wszystkich stron gromada liczna młodych ludzi i obsaczyła wszystkie wejścia i wyjścia wewnątrz i nazewnątrz. Garstka z nich wpadła do zawiadowcy i zagroziwszy wszystkim w biurze, że będą strzelali, jeśli się kto ruszy, poczęła przez okna, nie otwierając ich nawet, strzelać gęsto do stojących wagonów III ej klasy, w których znajdowali się żołnierze dla ochrony poczty, oraz do wozu pocztowego, w którym wśród worków wartościowych jechało paru urzędników. Jednocześnie grad kul sypał się w stronę tych wagonów także z okien poczekalni, które służyły napastnikom za strzelnicę wygodne. Zaraz po pierwszej takiej salwie karabinowej rzucono z przeciwnej strony dworca, od szyn, bombę pod pudło wagonu III-ej klasy, które wyleciało w powietrze z hukiem druzgocąc się w tysiączne kawałki, spadające na, znacznej przestrzeni wokoło stacyi. Poszarpani wybuchem żołnierze powypadali na plant, lżej ranni zdołali jeszcze zawlec się w pole, gdzie dopiero legli na ziemi. Resztki niezdruzgotane wagonów III-ej klasy ogarnęły ogromne płomienie. Tuż przed samym wybuchem podoficer żandarmeryi, dyżurujący na stacyi zapytał stojącego przy dzwonku zwrotniczego, co to za hałas w kancelaryi i niedosłyszawszy odpowiedzi, padł trupem, ciśnięty o ziemię straszną siłą eksplozyi. Zwrotniczy przy nim doznał tylko obrażeń dotkliwych na ciele. Kiedy napastnicy uporali się w powyższy sposób z obroną poczty, rozległ się sygnał trąbki dla zaprzestania strzałów z zewnątrz. (Tą trąbką dowodzono z nadzwyczajną karnością całym napadem). I zaraz kilkunastu członków bandy wtargnęło do przestrzelonego już na wylot wagonu pocztowego, gdzie ranni już urzędnicy nie mogli im stawiać oporu. Ci zaś nie troszcząc się o nich wcale, gorączkowo, niemal w mgnieniu oka przeładowali całą zawartość wagonu pocztowego na swój wózek, zabrawszy worki z gotówką, papiery i przesyłki wartościowe. Dla postrachu jeszcze rzucili parę bomb po dokonaniu już dzieła głównego celu napadu, poczem wywiesili czerwony sztandar na rogu peronu i wołając „ręce do góry,



Jubileusz nestora polskich rysowników: Sędziwy Franciszek Kostrzewski, popularny jako humorysta plastyczny, którego po 60 latach pracy malarskiej uczcił świat artystyczny Warszawy biesiadą jubileuszową.

stać, nie ruszać się z miejsca“, ostrzelali plac napadu i jak niewiadomo skąd i jak przybyli, tak niewiadomo — jak i gdzie zniknęli. Pogoń kozaków po lasach nie odniosła skutku. Aresztowania i rewizye osób i pakunków podróżnych wszelkich pociągów po katastrofie, nie wydały również rezultatu pomyślnego. Cały peron zaległy stosy potłuczonego szkła, odłamków i drzazeg drzewnych, różnych części żelaznych, obok wystrzelanych w ogromnej ilości ładunków karabinowych i rewolwerowych. Licznych rannych, wśród których są żołnierze z oddziału ochrony pocztowej, oraz urzędnicy poczty i funkcyonaryusze kolejowi, odwieziono do szpitali warszawskich; niektórzy z nich pasują się ze śmiercią wśród męczarni. Szczegółowe obliczenia urzędowe wykazały, że w Rogowie zabrano blisko 70 000 rubli; zrabowane wory zawierały właśnie mniejsze sumy, podczas gdy poważniejsze jeszcze kwoty znajdowały się w worach, których napastnicy nie mieli już czasu porwać z wagonu.

Jubileusz nestora polskich rysowników.

Niezwykły jubileusz obchodził świeżo świat artystyczny Warszawy, jubileusz człowieka należącego już w zupełności do historyi, a będącego żywem uosobieniem tradycyi, która nas wiąże z przeszłością i daje na przyszłość otuchę. Przeszło lat sześćdziesiąt służył sztuce polskiej i społeczeństwu swemu sędziwy jubilat, nestor polskich rysowników, Franciszek Kostrzewski, popularny po dziś dzień jeszcze wśród publiczności Warszawy a nawet całego Królestwa, najznakomitszy bądź co bądź humorysta plastyczny w Polsce. Urodzony w Warszawie w 1826, tam kończył szkoły; mieszkając przez czas pewien na wsi w Krakowskiem, zapoznał się doskonale z życiem ludu naszego. Tu mając jedynie naturę za wzór, kształcił się w rysunku, zanim wstąpił do nowootwartej szkoły sztuk pięknych w Warszawie. W 1854 zyskał rozgłos swym obrazem „Wnętrze karczmy“ premiowanym na wystawie, poczem wystawiał szereg prac rodzajowych, często pastelowych, na tle wiejskiego krajobrazu lub miejskiego zaułku; pod strzechą włościańską lub w dworku szlacheckim, w sali balowej lub izbie karczemnej stawiał on cały szereg typów, do których wątek czerpał z otoczenia. Do najlepszych jego obrazów należą „Zaścianek Dobrzyński“, „Jałmużna w lesie“, „Licytacya dobytku chłopskiego“, „Jarmark w miasteczku“ itp. Znane są jego wyborne typy uliczne „Druciarze“, „Wyrobnicy“, „Piaskarze“. W obrazach jego uderza rzewność swojska, przywiązanie do ludu i współczucie z jego niedolą. Odrębną działalność rozwinął jako illustrator wielu książek i pism peryodycznych w Warszawie. Niepospolity talent do karykatur wykazał szczególnie w „Wolnych żartach“ i „Szpargałach“, wydanych w 1859. Illustracyj humorystycznych dostarczał przez całe życie do „Tygodnika Illustrowanego“, do „Kłosów“ już nie wychodzących dzisiaj, a od 1868 do 1874 illustrował „Muchę“. Lewental wydał zbiór jego karykatur. Malując lub rysując przez całe życie najrozmaitsze objawy życia współczesnego, stał się Kostrzewski bezsprzecznie najznakomitszym polskim humorystą plastycznym. Kalejdoskop życiowy przedstawiał mu się zawsze owiany atmosferą dobrodusznej, jowialnej wesołości. Humor Kostrzewskiego, to cząstka duszy Polaka. Jest on bez żółci, bez zjadliwości, zaledwie zatrąca o satyrę, a jest przedewszystkiem objawem pogodnego stanu duszy. Plastycznym wyrazem humoru jego jest śmieszność materyalna przedstawionych postaci lub odtworzonych sytuacyj. Z własnem społeczeństwem Kostrzewski był związany tajemniczą siecią wspólnych upodobań, wspólnych ideałów i bezwiednie siebie tylko wypowiadając, przemawiał głosem rozumianym przez najliczniejsze rzesze pokrewnych mu duchem, a bratnich pochodzeniem jednostek. To też gdyby jubileusz jego obchodzono w innej chwili, w innych okolicznościach, niż czasy obecne w Królestwie, manifestacya uczuć społeczeństwa, któremu przez sześćdziesiąt lat wiernie służył ten obywatel artysta, byłaby przybrała rozmiary szersze i głośniejsze. Tymczasem świat artystyczny Warszawy uczcił gody brylantowe malarza ze sztuką polską, koleżeńską biesiadą w Tow. artystycznem, pozbawioną reklamowanej fanfary, a opromienioną nastrojem serdecznej sympatyi, która otacza osobę sędziwego jubilata. Do życzeń, jakie mu tam złożono — i my, dając dziś jego portret, dołączamy swoje.



Pogrzeb arcyksięcia: Kondukt żałobny ze zwłokami śp. arcyksięcia Ottona przeciąga ulicami Wiednia w drodze do grobowców cesarskich w kościele OO. Kapucynów.

Pierwsza kobieta na katedrze profesorskiej.

Niezwykła uroczystość odbyła się świeżo w prastarych murach paryskiej Sorbony. Na katedrze tego sławnego uniwersytetu stanęła po raz pierwszy jako profesor — kobieta, a zaszczyt ten niezwykły przypadł w udziale właśnie naszej rodaczce. Rycina nasza przedstawia chwilę jej wykładu inauguracyjnego, a niejedna z Czytelniczek pozna w twarzy profesora-kobiety panią Curie Skłodowską. Wiadomo, że nazwisko tej uczonej nabrało wielkiego rozgłosu po odkryciu radu, który spowodował znaczny przewrót w hipotezach naukowych, a w jeszcze szerszych kołach stało się znane w kilka lat po tem. gdy pani Skłodowska do spółki z mężem swym Piotrem Curie dostała za te odkrycia nagrodę Nobla w dziale fizyki. Rząd francuski utworzył dla obojga małżonków nową katedrę fizyki przy Sorbonie, powierzając jemu profesurę, a jej kierownictwo laboratoryum W maju b. r. po tragicznej śmierci męża grono profesorów wezwało na opuszczoną katedrę wdowę, powierzając uczonej naszej rodaczce i laboratoryum i wykład. Inauguracya odbyła się w tych dniach w sposób wyjątkowo uroczysty, wobec reprezentantów rządu, ministra oświaty i całego gremium profesorskiego z dziekanem. Wykład wysłuchany przez mnóstwo publiczności zajmował się radioaktywnością, a sprawił jak najlepsze wrażenie, zwłaszcza z tego powodu, że pierwsza kobieta występująca w Paryżu jako profesor uniwersytetu, uniknęła wszelkiej teatralności, a nawet zaimponowała Francuzom swą skromnością. Nie przyjęła od deputacyi kobiet albumu, a prosiła, by dar ten wręczyły dziekanowi — i chcąc uniknąć owacyi ulicznych, wysunęła się po wykładzie tylnem wyjściem.



Pierwsza kobieta na katedrze profesorskiej: Wykład inauguracyjny uczonej naszej rodaczki, pani Curie Skłodowskiej, mianowanej profesorem fizyki w Sorbonie paryskiej. W pierwszym rzędzie słuchaczy widać dziekana uniwersytetu.

Pogrzeb arcyksięcia.

Z wielką ceremonią odbył się w Wiedniu pogrzeb synowca cesarskiego, arcyksięcia Ottona, którego portret i sylwetkę pośmiertną zamieściliśmy w numerze poprzednim. Z pałacu arcyksiążęcego późnym wieczorem przenieśli podoficerowie zwłoki na poszóstny karawan, za którym postępowała służba dworska, a na całej drodze do Burgu wojsko tworzyło szpaler ruchomy. Dostojnicy dworscy oczekiwali orszaku żałobnego w „Schweizerhofie“, skąd przeniesiono je przed północą do farnego kościoła dworskiego. Nazajutrz dopuszczono do katafalku publiczność. Cały kościół był obwieszony czarnem suknem Trumna spoczywała na



Najpopularniejszy z burmistrzów: Dr. Karol Lueger, głośny burmistrz stolicy austryackiej, którego choroba daje powód do wzruszających manifestacyj miłości Wiedeńczyków dla swego popularnego gospodarza.

złotogłowiu pod baldachimem z czarnego kiru. Przed nią na aksamitnych poduszkach złożono książęcą koronę, arcyksiążęcy kapelusz, pałasz i ordery zmarłego. Straż przy zwłokach pełnili gwardziści przyboczni, a przy wszystkich ołtarzach duchowieństwo odprawiało msze i odmawiało modły przed katafalkiem. W południe kościół zamknięto, żeby dopuścić do ciała tylko rodzinę. Przez ten czas dzwoniły dzwony wszystkie w kościele dworskim. Właściwy obrzęd pogrzebowy zaczął się o godzinie 4 po południu. Z katafalku wyniosło trum-



Pogrzeb arcyksięcia: Kondukt żałobny ze zwłokami śp arcyksięcia Ottona zatrzymał się przed kościołem OO. Kapucynów, a podoficerowie pułku ułanów przenoszą trumnę na katafalk.



Fot. apar. red. „Now Ill." W. Lis w Krakowie.
Echa wyborów: W dniu wyboru posła do Sejmu z Krakowa: przed lokalem wyborczym stronnictwa demokratycznego, gdzie agitowano za dyrektorem Petelenzem.

nę 10 podoficerów z pułku ułanów i wśród dzwonów złożyło na karawanie. Pochód ruszył w drogę do kościoła Kapucynów, gdzie spoczywają zwłoki Habsburgów. Po bokach trumny szło 8 paziów z pochodniami woskowemi, dalej po sześciu z gwardyi łuczników, 6 z węgierskiej gwardyi przybocznej, 8 trabantów i 8 przybocznych gwardzistów. Za trumną postępował ochmistrz. Przed karawanem, ciągnionym przez 6 siwoszów (widać go na naszej fotografii) kroczyli komisarze dworscy; austryacka i węgierska gwardya łuczników i trabantów tworzyła szpaler posuwający się wraz z karawanem. Nadto maszerowały dwa szwadrony kawaleryi i kompania piechoty. Gdy doniesiono, że trumna zbliża się do Kapucynów, udał się do kościoła dwór. Przed portalem przyjął kondukt ks. biskup Marschall, a podoficerowie (przedstawia tę chwilę druga nasza fotografia) przenieśli trumnę na katafalk. Kiedy po pokropieniu zwłok wśród śpiewu śpiewaków kaplicy dworskiej, zdjęto ciało z katafalku, żeby zznieść je do podziemi, wstał z miejsca cesarz, a wraz z nim powstali arcyksiążęta, król saski, ks. Eitel Fryderyk (przedstawiciel ces. Wilhelma), ks. Albrecht würtemberski, ks. Alojzy Liechtenstein, zastępcy innych państw, którzy brali udział w pogrzebie wraz z dygnitarzami dworskimi, ministrami, prezydentami obu Izb itd. Dwór szedł za trumną do schodów, prowadzących do krypty, a dalej odprowadzali zwłoki do grobowca synowie i bracia zmarłego, wraz z biskupem i pierwszym ochmistrzem dworu, który OO. Kapucynom wręczył klucz od trumny, oddając zwłoki pod ich opiekę.

Najpopularniejszy z burmistrzów.

Od pewnego czasu dzienniki austryackie donosiły codzień o stanie zdrowia popularnego burmistrza wiedeńskiego dra Luegera, który złożony niemocą, przestał chwilowo pełnić swe czynności — ku zmartwieniu zakochanych w nim Wiedeńczyków. Już zapewniano, że mu się polepszyło znacznie i nie zachodzi obawa katastrofy, gdy naraz w ubiegłym tygodniu zaczęły krążyć po stolicy naddunajskiej pesymistyczne pogłoski o przebiegu choroby dra Luegera. Dotarły one rychło i do dworu, to też zjawił się w prezydyum magistratu jeden z adjutantów cesarskich, zapytując imieniem monarchy, jak się ma burmistrz i prosząc o regularne nadsyłanie biuletynów o przebiegu jego choroby do kancelaryi gabinetowej cesarza Franciszka Józefa. Wobec ogólnego zaniepokojenia, wywołanego groźnemi pogłoskami, ogłosił oficyalny organ magistratu wiedeńskiego komunikat tej treści, iż



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.
Echa wyborów: W dniu wyboru posła do Sejmu z Krakowa: przed lokalem wyborczym stronnictwa konserwatywnego, gdzie agitowano za dyrektorem Staniszewskim.

w stanie zdrowia dra Luegera nie zaszedł wcale zwrot ku gorszemu, któryby usprawiedliwiał te obawy w mieście. I rychło wyjaśniło się czem sobie należy tłómaczyć powstanie ostatnich pogłosek alarmujących. Oto, jak wiadomo, dawny przywódca antysemitów wiedeńskich jest człowiekiem bardzo religijnym. Pragnął więc poprzedniej niedzieli, jako w dzień swoich imienin, wysłuchać mszy św. A ponieważ nie wolno mu na miasto wychodzić, przeto uprosił władzę duchowną, by kapłan w tym celu przyszedł do ratusza. Istotnie ksiądz odprawił mszę w mieszkaniu chorego, który wysłuchał jej w towarzystwie swych obu sióstr i pielęgnujących go zakonnic. Z tego naturalnie zrodziła się pogłoska, że u chorego burmistrza był już ksiądz, by go na śmierć dysponować. Zresztą uporczywa choroba dra Luegera daje impuls do prawdziwie wzruszających manifestacyj tej niezwykłej miłości, jaką ludność Wiednia żywi dla swego burmistrza, któremu, jak wiadomo, za życia stawia pomniki na placach publicznych, a którego właśnie swego czasu nie chciał monarcha po kilkakroć zatwierdzić na urzędzie gospodarza stolicy. Oto w niedzielę np. we wszystkich dzielnicach miasta obchodzili Wiedeńczycy uroczystemi zebraniami imieniny Luegera, a na niektórych z nich artyści i artystki Burgteatru deklamowali prologi, sławiące jego działalność. W kościołach jednocześnie odprawiały się nabożeństwa na intencyę wyzdrowienia ukochanego burmistrza, zamówione przez różne stowarzyszenia.



Echa wyborów: W dniu wyboru przed magistratem krakowskim. — Fot. apar. red. W. Lis w Krakowie.

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

z angielskiego przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEŃ WATSONA

7 Ciąg dalszy.

Dosyć było zwalisk i kamieni na dole w przepaści, pozwalały one śmiało przypuszczać, że sceny takie powtórzą się dosyć często i że ich trzeba się obawiać. Właśnie oderwał się głaz ogromny i z hukiem okropnym toczył się w przepaść, aż konie zerwały się mimowoli do szybszego biegu.

Na wschodnim horyzoncie ukazało się słońce, i oblało stoki gór jasnemi promieniami, zwolna jeden po drugim, aż wszystkie stoki zapaliły się nagle i zabłysły wspaniałem światłem, niby podczas jakiejś wielkiej uroczystości. Widok to był wspaniały, jakiego nie widzieli jeszcze podróżni. Serca ich napełniły się nową nadzieją, nową otuchą. Na brzegu leśnego strumyka, który wytryskał z jednej z górskich skał, zatrzymali się na chwilę dla wypoczynku, napoili konie, spożyli małe śniadanie, i zaraz ruszyli naprzód. Lucy i Ferrier chcieli jeszcze chwilę pozostać, lecz przebiegły i wytrawny. Jefferson naglił do pospiechu, mówiąc:

Już są pewnie na naszym śladzie — potrzeba się zatem pospieszyć. Gdy przybędziemy szczęśliwie do Carsow, będziemy mogli dopiero wtedy pomyśleć o spoczynku.

Cały dzień jechali po najrozmaitszych przepaściach i najokropniejszych drogach. Do wieczora musieli według ich rachuby zrobić trzydzieści mil. Zmęczeni oglądali się za jakąś zasłaniającą skałą przed zimnym wiatrem nocnym, aby się rozgrzać i zasnąć choćby na chwilę. Aż do tej chwili nie zauważyli pogoni i Jefferson myślał już, że uciekł przed okropną przewagą nieprzyjaciela. Nie wiedział niestety, jak daleko sięga mściwe jego ramię, jak prędko strąci go z wyżyn szczęścia w przepaść okropnej rozpaczy.

Około południa dnia drugiego począł wyczerpywać się zwolna ich mały zapas żywności. Lecz myśliwy nie myślał o tem wiele, bo nie brak tu było licznej zwierzyny, którą mógł dostać w swe ręce przy pomocy flinty. Zgromadził trochę suchych gałęzi i rozpalił ogień potężny, ażeby ojciec i Lucy mogli się rozgrzać, gdyż znajdowali się właśnie na wysokości 5000 stóp nad powierzchnią morza, a zimny wiatr przejmował ich do głębi. Jefferson poprzywiązywał konie, a pożegnawszy się z Lucy wyruszył z przewieszoną przez plecy flintą, aby popróbować swego myśliwskiego szczęścia. Gdy oglądnął się raz jeszcze, ujrzał starca siedzącego przy ogniu, a obok niego ukochaną Lucy, grzejącą zmartwiałe ręce. Konie stały bez ruchu. Lecz już za następną skałą utracił ich z oczu, gdyż wystający głaz zakrył ich zupełnie. Od rozpadliny do rozpadliny krocząc, przeszedł tak parę mil, nie upolowawszy nic zgoła, jakkolwiek natrafił na ślad niedźwiedzia. Już miał wracać po kilkogodzinnej włóczędze z próżnemi rękoma do Lucy, gdy parę kroków od skały, na której stał właśnie, ujrzał potężną głowę jednego z najpospolitszych w tym kraju zwierzęcia. Szybko upadł na ziemię, flintę oparł wygodnie, wycelował i strzelił. Zwierzę podskoczyło w powietrze, straciło równowagę na skraju przepaści i za chwilę runęło w dolinę, do której też zeszedł zaraz Jefferson. Niepodobna było ponieść całej zdobyczy, dlatego dzielny myśliwy musiał się zadowolnić odkrajaniem jednej łopatki zwierzęcia. Przerzuciwszy ją na ramię, pospieszył czemprędzej do Lucy, atoli droga nie była tak łatwa. Wieczór nadchodził już, a w niezmiernej ciemności trudno było poruszać się szybko i pewnie, gdyż dolina rozgałęziała się na kilkanaście mniejszych rozpadlin i można było łatwo zejść z prawdziwej drogi. Z trudem wyszedł Jefferson na pewną skałę, gdy nagle spotkał na drodze duży strumyk górski; wrócił się zatem i szukał nowego wyjścia, z tym samym skutkiem. Już późna noc była, gdy wydostał się na znaną mu ścieżkę. Ze zdobyczą wspinał się odważnie po spadzistych urwiskach; noc była ciemna, bo księżyc nie ukazał się jeszcze na niebie. Jefferson potykał się nieraz, padając na ziemię boleśnie, mimo to jednak nie ustawał, a myśl, że jest z każdym krokiem bliżej Lucy, napełniała jego serce nową otuchą. Niósł przecież tyle zapasów ze sobą, że z pewnością nie zazna głodu podczas podróży w tych górach przeklętych. Gdy wyszedł na najwyższy pagórek, spostrzegł z radością, że niedaleko już oddalony jest od miejsca, gdzie pozostawił ukochaną Lucy i jej ojca biednego. W ciemności rozpoznawał już kontury tej skały przy wejściu do rozpadliny. Całe pięć godzin był na polowaniu, z jakąż tęsknotą wyglądała go biedna Lucy! Ażeby przygotować ich na swe przybycie, złożył dłonie w tubę i krzyknął, głośno: „hurra“! Potem stanął, nadsłuchując, czy nie posłyszy odpowiedzi, lecz tylko echo powtarzało jego własne słowa, zresztą panowała martwa cisza. Więc głośniej i z większą rozpaczą zawołał raz jeszcze, ale żadne słowo z ust ukochanych nie witało go teraz. Porwany jakiemś niewytłumaczonem przeczuciem, rzucił drogo zdobytą zdobycz na ziemię, sam zaś pobiegł naprzód jak szalony. Skręcił na prawo, a przed sobą o parę kroków ujrzał miejsce, gdzie ogień zapalił. Jeszcze tlił się, ale gasł zwolna, bo nie dokładano drzewa. Dokoła panowała grobowa cisza. Przeczucie spełniło się. Ani Lucy nie ujrzał, ani Ferriera — znikli gdzieś wraz z końmi i mułem. Nieszczęście musiało ich spotkać podczas jego pięciogodzinnej nieobecności.

Ogłuszony i przyciśnięty okropnym wypadkiem, który zdarzył się tak niespodzianie, oparł się Jefferson na flincie, gdyż nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Szybko jednak przyszedł do siebie, bo była to natura dzielna i hartowna. Drżącą ręką pochwycił za tlejące drewienko, rozdmuchał je i przy pomocy tej prowizorycznej latarni badał dokładnie miejsce wypadku. Ziemia nosiła ślady kopyt końskich, co było wymownym dowodem, że nadjechała cała gromada tajemniczych jakichś jeźdźców, którzy ponieśli Lucy i Ferriera ze sobą i powrócili do miasta. Czyżby ojciec i córka zostali nielitościwie porwani? Tak myślał Jefferson początkowo, lecz nagle osunął się na ziemię, a krew ścięła się w jego żyłach. Nieco z boku od ognia spostrzegł kupę czerwonawej ziemi, świeżo skopanej. Kopca tego przedtem nie było. Czyżby to był grób? Młody myśliwy przystąpił bliżej, — w ziemi tkwił mały patyk do którego przymocowano kartkę papieru. Pismo było krótkie ale dobitne:

„Jan Ferrier z doliny Utah
zmarł 4 sierpnia 1860 r.“

Dzielny, poczciwy starzec, który przed paru godzinami jeszcze był w pełni sił, leżał oto martwy, a to jego grób tu w tych dzikich górach. Jefferson oglądał się z trwogą za drugim grobem, lecz nie mógł go odnaleźć. Barbarzyńcy musieli Lucy ponieść ze sobą, by ją rzucić w objęcia syna najstarszego z mormonów.

Gdy Jefferson poznał, jak dalece jest bezsilnym wobec losu, jaki go spotkał, począł zazdrościć w pierwszej chwili Fierrierowi, który zasnął już snem sprawiedliwego. Atoli nie długo oddawał się rozpaczy. Choć niczego nie mógł już zmienić, to może przecież życie swe zemście poświęcić.

Gdy tak stał niemo zapatrzony w dogasający ogień, zrozumiał, że ulgi nie zazna, aż własnoręcznie nie pomści tej krzywdy na prześladowcach Lucy i Ferriera.

Obok niezmordowanej cierpliwości i nadludzkiej wytrwałości, odznaczał się Jefferson dziką, niczem niehamowaną zemstą, której nauczył się prawdopodobnie u Indyan, z któremi długo obcował. Jego siła woli, niestłumiona żądzą czynu, widziały przed sobą jeden cel tylko i to było jego niezmienne postanowienie. Z wybladłą, bólem skurczoną twarzą, powrócił do miejsca, gdzie pozostawił zdobycz na dni następne. Potem zerwał się szybko do drogi nie bacząc na zmęczenie, aby iść śladem anioł śmierci i pomścić porwanie Lucy.

Pięć dni szedł po tych górach, rozpadlinach i niebezpiecznych, karkołomnych ścieżkach, raniąc sobie nogi w sposób okrutny. Za nadejściem nocy kładł się pod wystającą skałą, wypoczywał parę godzin, by z brzaskiem dnia, rozpocząć wędrówkę na nowo. Kiedy zmęczony i wyczerpany przybył do kotliny, gdzie były poprzednio konie ukryte, ujrzał u stóp swoich miasto mormonów. W bezsilnym gniewie, zacisnął pięści, ślubując straszną zemstę złoczyńcom. Lecz cóż to — cóż to ma znaczyć? — W głównych ulicach powiewały z dachów chorągwie, domy ozdobne, przystrojone niby podczas jakiejś wielkiej uroczystości. Gdy zastanawiał się jeszcze nad tem, coby to mogło znaczyć, posłyszał przyspieszony bieg konia i jakiś jeździec nadjechał. Jefferson poznał w nim mormona Coufer, któremu niejedną wyświadczył przysługę; mógł się tedy spodziewać, że dowie się coś o losie ukochanej Lucy.

Mormon Coufer spojrzał początkowo na Jeffersona szeroko rozwartemi oczyma, gdy ten zastąpił mu drogę i wymienił swoje nazwisko. Bo i któż mógłby poznać w tym bladym i wyniszczonym podróżnym, dawnego dzielnego myśliwca Jeffersona? Skoro upewnił się Coufer, że przed jego oczyma stoi prawdziwy Jefferson, zatrwożył się nie mało biedny mormon.

— Czyś ty oszalał, że ważysz się tutaj jeszcze przychodzić — zawołał. — Jeśli zobaczą, że z tobą rozmawiam, głowa spadnie mi z karku natychmiast. Czy nie wiesz, że święta Rada czterech rozkazała cię schwytać i uwięzić, dlatego że pomogłeś Ferrierowi w ucieczce.

— Nie boję się tych łajdaków, ani ich rozkazu schwytania mnie — zawołał oburzony do najwyższego stopnia Jefferson — Couferze — mówił dalej — daremnie starając się spokój zachować — byliśmy dotąd przyjaciółmi; na wszystko, co drogie dla ciebie, zaklinam cię teraz, odpowiedz mi na pytanie. Na Boga Couferze — posłuchaj mej prośby!

— Co chcesz wiedzieć — zapytał mormon, oglądając się trwożliwie, — mów prędko, tu każda rzecz widzi i słyszy nawet skały i drzewa.

— Coufer! Co stało się z Lucy Ferier?

— Wczoraj oddano ją do haremu młodemu Drebberowi. — Lecz co to Jeffersonie — zbladłeś jak chusta.

Jefferson osunął się na pobliską skałę, wargi jego drżały.

— Do haremu Drebbera? — mamrotał złamanym głosem.

— Tak — to było wczoraj — dlatego domy jeszcze ozdobione. Drebber i Stangerson sprzeczali się ze sobą o zdobycz. Podczas pościgu, jaki puścił się za Lucy i Ferierem, padł starzec z ręki Stangersona, miał tedy większe prawo do niej Stangerson, gdy jednak sprawę wytoczono przed radę czterech, miał Drebber więcej zwolenników i prorok przeszedł na jego stronę. Lecz Lucy nie długo będzie jego żoną, gdyż śmiertelnie chorą jest pono, i pewnie nie długo pociągnie. Czy już masz zamiar odejść Jeffersonie?

— Tak! Odejdę teraz — odparł Jefferson, podnosząc się z trudem; twarz jego była blada i martwa, jak z marmuru wykuta, tylko w oczach płonął mu dziki ogień zemsty.

— Dokąd udasz się teraz?

— Nie pytaj mnie o to — odparł Jefferson, zarzucając flintę na plecy. Następnie poszedł zwolna w góry, niedostępne skały i urwiska, gdzie koczują tylko wilki i niedźwiedzie; ale żadne z tych zwierząt nie pragnęło bardziej krwi od niego.

Co przepowiedział mormon, spełniło się nadzwyczaj prędko. Czy to pod wpływem rozpaczy po utracie ojca, czy też może wskutek znienawidzonego małżeństwa, do którego ją gwałtem ciągnięto — ginęła z dniem każdym coraz bardziej, marła prawie że w oczach, aż pochowano ją w niespełna miesiąc po porwaniu.

Niegodny gbur, który ją zabrał do swego haremu, aby zagrabić bogate posiadłości Ferriera, nie bardzo się zmartwił jej śmiercią, — jego żony natomiast pokochały bardzo nieszczęśliwą Lucy, i przy jej zwłokach pozostały według zwyczaju mormonów noc całą.

Siedziały jeszcze przy zmarłej, gdy z pierwszym brzaskiem dnia rozwarły się drzwi nagle i z przerażeniem okropnem ujrzały przed sobą opalonego człowieka, o dzikim, ponurym wyglądzie i poszarpanym w strzępy odzieniu.

Nie mówiąc i słowa do nikogo, przypadł niezwłocznie do zmarłej, nie zważając na krzyki żon Drebbera.

Schylił się nad nią, dotknął ustami jej czoła zimnego, potem ujął ją za rękę i zwolna ściągnął z palca zmarłej ślubną obrączkę.

— Pierścionka nie pochowają z Lucy do grobu — zawołał głucho.

Zanim zdołano go powstrzymać, by spytać go o powód tajemniczego zachowania, znikł, tak prędko, jak wpadł do pokoju.

Wszystko to stało się tak szybko i tajemniczo zarazem, że zgromadzone kobiety własnym oczom wierzyć nie chciały, gdyby nie fakt, że pierścień zdjęto z palca zmarłej Lucy.

Całymi miesiącami wałęsał się Jefferson Hope po górach, żyjąc z upolowanej zwierzyny i myśląc tylko nad sposobami zemsty.

Powoli opowiadano sobie o ciekawym człowieku, który pędzi życie tułacze i zjawia się ciągle to w tej lub innej okolicy na chwilę.

Razu pewnego strzelił ktoś do pokoju Stangersona przez okno. Kula przeszła tuż koło jego głowy.

Innym razem znowu, gdy Drebber schodził z pobliskiego stoku góry, stoczył ktoś na niego głaz olbrzymiej wielkości.

Tylko w ten sposób uszedł wtedy śmierci, że szybko uskoczył w bok.

Dwaj mormoni domyślili się niebawem, kto go-

dzi na ich życie, czynili też kilkakrotnie wyprawy w góry, w nadziei schwytania lub zamordowania ich śmiertelnego wroga. Z bojaźni nie odważyli się jednak nigdy później wyjść na pola, obstawiali też swoje domy liczną służbą wartowniczą.

Tymczasem mijały miesiące, a słuchy o Jeffersonie zginęły, Drebber i Stangerson uspokajali się powoli, spodziewając się niesłusznie, że krew gorąca Jeffersona ustatkowała się wreszcie i widząc daremne wysiłki da wreszcie za wygraną.

Inaczej myślał Jefferson.

Zemścić się krwawo było jego jedynym celem, jedyną myślą. Będąc z urodzenia nadzwyczaj praktycznym, poznać musiał rychło, że stargałby najsilniejsze nawet zdrowie w bardzo krótkim czasie, jeśliby miał nadal prowadzić podobne życie. Brak zdrowego i silnego pokarmu i najrozmaitsze trudności, niszczyły zwolna silny jego organizm. A cóżby się stało z zemstą, gdyby tak zginął marnie gdzieś w górach.

Nie! Za nic w świecie nie będą tryumfowali jego śmiertelni wrogowie.

Powrócił zatem do gór Nevady, ażeby wypocząć sobie nieco i zdobyć na tyle pieniędzy, aby odtąd módz się tylko zemstą zajmować. Początkowo zamyślał pozostać tam rok najwyżej, lecz okoliczności tak się złożyły, że pięć lat minęło, zanim mógł w końcu powrócić.

Lecz wspomnienie doznanej krzywdy i myśl krwawego odwetu nie zamarły jeszcze w jego piersi, pamiętał dobrze o ślubie, dokonanym na grobie starego Ferriera.

W przebraniu i pod zmienionem nazwiskiem przybył do miasta, aby domagać się swych praw choćby z narażeniem swego życia. Tutaj dowiedział się ku niemałemu zmartwieniu o zmianie, jaka zaszła w wybranym narodzie.

W kilka miesięcy przedtem, powstało rozbicie między mormonami. Niezadowoleni opierali się rozkazom najstarszego; wielu buntowników opuściło Utah i przyłączyło się do niewiernych. Drebber i Stangerson byli między nimi. Chodziły pogłoski, że Drebber miał spieniężyć większą część ojcowskiego majątku, i jako nadzwyczaj bogaty człowiek wyjechał, gdy tymczasem Stangerson, jego towarzysz, rozporządzał niewielką tylko sumą.

Dokąd się jednak zwrócili, nie mógł się Jefferson w żaden sposób dowiedzieć.

Wobec takich trudności, zrzekłby się z pewnością niejeden myśli o zemście — Jefferson jednak tak nie postąpił.

Jeździł od miasta do miasta w Stanach Zjednoczonych, szukając nienawistnych wrogów. Mały kapitalik, jaki miał ze sobą, opędzał najpotrzebniejsze wydatki, zabezpieczał go od nędzy; gdzie jednak znalazł robotę chętnie ją przyjmował.

Minęły lata, czarne jego włosy poczęły siwieć, Jefferson nie ustawał ani na chwilę w dzikiej pogoni, której życie poświęcił.

Wreszcie została jego wytrwałość wynagrodzoną.

Było to w Cleveland w państwie Ohio; idąc pewnego razu ulicą, spostrzegł znienawidzone oblicze Drebbera w jednem z okien kamienicy.

Wytropił wreszcie zwierzynę; szybko powrócił do domu, aby wprowadzić w czyn swój plan.

Nieszczęście chciało jednak, że i Drebber go poznał, gdyż udał się natychmiast ze Stangersonem, swym przybocznym sekretarzem do jednego z sędziów pokoju, prosząc go o pomoc i zabezpieczenie przed śmiertelnym wrogiem, godzącym na jego życie z zemsty i zazdrości.

Tegoż wieczora schwytano Jeffersona, a ponieważ nie mógł przedstawić sprawy na swą korzyść, zamknięto go na parę tygodni w więzieniu. Gdy wolność odzyskał, odszukał dom Drebbera, lecz dowiedział się tylko, że Drebber uciekł wraz ze Stangersonem do Europy.

Nie zrażając się tem wcale, że znowu mu wymknęli się z ręki, rozpoczął poszukiwanie na nowo, party niezaspokojoną zemstą.

Przedtem musiał się zaopatrzyć w pieniądze.

Gdy już miał tyle, że nie potrzebował się obawiać, iż zginie z głodu po drodze, popłynął za ocean, idąc za śladem znienawidzonych wrogów.

Nieraz jeszcze wymknęli mu się.

Po przybyciu do Petersburga, przekonał się, że odjechali do Paryża, a gdy i tam przybył, skonstatował, że uciekli znów do Kopenhagi.

Tam spóźnił się o parę dni, gdyż zwrócili się właśnie do Londynu.

Tutaj dopiero dostał ich w swe ręce.

Powracamy znowu do opowieści lekarza Watsona, której słuchaliśmy w pierwszej połowie niniejszej historyi tragicznej.

Dalszy ciąg opowieści dra Watsona.

Pomimo szalonego oporu jaki stawiał nasz jeniec, nie był zdaje się nieprzyjacielsko usposobiony względem nas. Skoro tylko zrozumiał, że przy naszej przewadze nad nim, nic nie podoła, zdał się na łaskę i niełaskę i spytał z przyjaznym uśmiechem, czy podczas starcia nie poniósł ktoś z nas szwanku.



Czyżby to był grób?

— Teraz odprowadzicie mnie pewnie na policyę - zwrócił się do Sherlocka Holmessa — moja dorożka stoi na dole; jeśli rozwiążecie mi panowie nogi, zejdę sam. Trudnoby było wam znosić mnie po schodach.

Gregson i Lestrade spojrzeli po sobie. Przedsięwzięcie zdawało im się za odważne, ale Holmess uwierzył na słowo Jeffersonowi i szybko uwolnił go z pęt.

Gdy powstał, rozglądnął się po pokoju i poruszał się, chcąc się przekonać, że rzeczywiście jest wolny.

Rzadko spotykałem ludzi, tak wspaniale zbudowanych, mających przytem tyle energii i zdecydowania w opalonej twarzy, przez którą jego siła zwiększała się w naszych oczach.

— Powinieneś pan zostać naczelnym dyrektorem policyi — rzekł, zwracając się do Holmessa, i patrząc na niego z prawdziwym podziwem — sposób, w jaki śledziłeś pan moje kroki, był nadzwyczaj mistrzowski.

Przyjaciel mój zaśmiał się.

— Panowie idą ze mną? — zapytał Holmess, zwracając się do obu detektywów.

— Zgoda — odparł Lestrade — będę powoził.

— Dobrze! — Gregson wejdzie do środka dorożki. A i pan, panie doktorze — wypadek interesuje pana ogromnie, niech go pan dalej bada.

Chętnie przystałem na to i udaliśmy się razem na policyę. Więzień nie pomyślał nawet o ucieczce, lecz wsiadł najspokojniej, a my za nim. Lestrade usiadł na koźle, popędził konie i wnet byliśmy na miejscu.

Poprowadzono nas do małego pokoiku, gdzie komisarz spisał zeznania więźnia, obok nazwisk Drebbera i Stangersona, o zamordowanie których oskarżono go właśnie. Inspektor, człowiek bladej, martwej twarzy czekał mechanicznie na wypełnienie swego urzędu.

— W tym tygodniu jeszcze stanie morderca przed sądem — odpowiedział — tymczasem najlepiej pan zrobisz, panie Jeffersonie Hoppe, gdy wyznasz prawdę bez ogródek, niczem nie starając się uniewinnić, gdyż słowa twoje świadczyć będą przeciwko tobie w sądzie.

— Mam bardzo wiele do zeznania — odparł Jefferson — jest to mojem gorącem życzeniem opowiedzieć wam panowie całą tę tragiczną historyę.

— Najlepiej, niech się pan wstrzyma z tem wszystkiem, aż do najbliższego przesłuchania — odparł komisarz.

— Kto wie, czy doczekam jeszcze tego — odpowiedział Hoppe. — Nie bójcie się panowie, nie myślę o samobójstwie, lecz mimo to mógłbym nie doczekać tej upragnionej chwili. Pan jesteś doktorem? — spytał, zwracając się do mnie.

Skinąłem potakująco.

— Połóż pan rękę na mojej piersi.

Uczyniłem, o co prosił i przeraziłem się, poczuwszy gwałtowne bicie serca i szmery w głębi piersi. Jego klatka piersiowa zdawała się drżeć i chwiać się, jak wątła budowla, w której pracuje potężna maszyna.

— Co to ma znaczyć — zawołałem — ma pan wadę serca w ostatniem stadyum.

— Całkiem słusznie — odpowiedział spokojnie. — Byłem też niedawno u lekarza; powiedział mi, że niedługo pociągnę. Dostałem tej choroby wskutek zmartwień i złego, niedostatecznego odżywiania się w górach, potem z roku na rok było gorzej, stan pogarszał się coraz bardziej. Dzieła mego życia dokonałem, nie żal mi, że koniec się zbliża; więc chciałbym tylko dokładnie wszystko opowiedzieć, aby nie stawiano mnie w rzędzie prostych morderców.

Po krótkiej naradzie z detektywami, czy usłuchać jego prośby, zwrócił się do mnie inspektor z zapytaniem:

— Czy pan przypuszcza, panie doktorze, że zachodzi bezpośrednie niebezpieczeństwo?

— Bez kwestyi — odparłem dobitnie.

— W takim razie jest naszym obowiązkiem spisać natychmiast protokół w imieniu sprawiedliwości. Mów pan zatem, panie Jeffersonie, nie zapominaj pan jednakowoż, że wymówki wyjdą panu na szkodę.

— Jeśli panowie nie macie nic przeciwko temu, usiądę — odpowiedział jeniec, siadając.

— Od jakiegoś czasu jestem bardzo osłabiony — przyczyna to mojej choroby. Z pewnością zaszkodziła mi także walka, którą stoczyłem z tymi panami. Stoję nad grobem, a wtedy się nie kłamie. Wszystko co powiem, jest najświętszą prawdą, dla mnie zaś obojętną rzeczą, jaki skutek będą miały moje zeznania.

Oparł się na krześle i mówił tonem spokojnym i obojętnym, jak gdyby rozchodziło się o rzeczy codzienne.

Za dokładność protokółu ręczę, gdyż Lestrade każde jego słowo pisał, później zaś pozwolił mi to wszystko przeczytać.

(Dokończenie nastąpi).

Nowy gabinet we Francyi.

Gabinetem Dreyfusardów przezwano nowych ministrów, których dobrał sobie nowy naczelnik rządu francuskiego, Jerzy Clemenceau. Istotnie zrekrutował on swój gabinet wśród panamistów i komitetu ratunkowego dla sprawy Dreyfusa. Na



Nowy gabinet we Francyi: Stephen Pichon, minister spraw zagranicznych.

czoło towarzystwa, jakie koło siebie Clemenceau zgromadził, wybija się generał Picquart. W czasie słynnego procesu kapitana Dreyfusa był on pułkownikiem i szefem wojskowego biura informacyjnego i jako taki, był zdania, że Dreyfus zdradził Francyę, a tem samem, że nałożona nań za to kara sądowa jest sprawiedliwą. Zdanie to szefa wojskowego biura informacyjnego było bardzo ważnem dlatego, że on, posiadając w przechowaniu u siebie najtajniejsze i najważniejsze dokumenty wojskowe, mógł sobie na ich podstawie wyrobić zdanie właściwe. Dla syndykatu Dreyfusa było zdanie Picquarta nie na rękę i wiele zależało na odmienieniu jego przekonań. Zabiegi obrońców Dreyfusa nie pozostały bez skutku i jak sobie Czytelnicy przypominają tę niesłychaną sensacyę swego czasu, Picquart zgoła nagle, podobno w ciągu jednej nocy, przedzierżgnął się z przeciwnika zniesławionego kapitana, w najzagorzalszego obrońcę jego niewinności. Wiadomo też, że następnie uwięziono Picquarta i zdegradowano, a kiedy go nawet później uwolniono, przecież władze nie przywróciły mu godności wojskowej. Dopiero w tym roku w lecie, wbrew wyrokom sądów, gabinet poprzedni przeprowadził w parlamencie uchwałę, przywracającą mu szarżę. Mianowano Picquarta wtedy generałem (dawaliśmy wówczas fotografie z aktu rehabilitacyi Dreyfusa i Picquarta). Dziś jest on ministrem wojny w gabinecie Clemenceau, gabinecie, złożonym niemal z samych... dziennikarzy, z wyjątkiem chyba ministra kolonii Millies Lacroix, który był dawniej tylko kupcem. Zresztą każdy z nowych ministrów był albo zawodowym dziennikarzem, albo też często występował w roli publicysty, pisując głośne artykuły w prasie, czy też puszczając w świat ważne broszury.



Nowy gabinet we Francyi: Guyot-Dessaigne, nowy minister sprawiedliwości.

Zagraniczną polityką francuską kierować będzie „adjutant" obecnego prezydenta gabinetu, Stephen Pichon. Ten ministrem został z reportera. Kiedy Clemenceau wydawał dziennik „Justice", był mu Pichon tak na rękę, jak to mówią, że go przeforsował na deputowanego. Ale już przy następnych wyborach nie wszedł do Izby Pichon, a Clemenceau w zamian wyrobił mu posadę konsula. Bawił tedy kolejno exreporter-konsul w Haiti, w Rio de Janeiro, wreszcie w Pekinie, aż został generalnym rezydentem w Tunisie. Nie znane są jego zasługi dyplomatyczne i zdaje się, że Pichon jako minister będzie tylko narzędziem w ręku Clemenceau. To samo da się powiedzieć o nowym ministrze sprawiedliwości, 73 letnim Dessaigne, który był już taką maryonetką w rękach premiera Bourgeois.

Na czele zupełnie nowego ministerstwa robotniczego stanął również dziennikarz, paryski korespondent „N. Fr. Presse", Rene Viviani, podobno radykalny socyalista, najbardziej znany tylko z tego, że był gorącym obrońcą niewinności Dreyfusa.

W tych dniach Izba deputowanych obradowała nad kredytem dla nowego ministerstwa robotniczego, którego tytuł oficyalny brzmi: „ministerstwo pracy i dobra publicznego". Kilku mówców zarzucało prezydentowi Clemenceau, że postąpił jak anarchista i tworząc nowe ministerstwo, zapomniał o ciele prawodawczem. Minister Viviani usprawiedliwił utworzenie tego ministerstwa w celu większego skonsolidowania kwestyj robotniczych. Będzie ono spełniało głównie idee polityki socyalnej. Minister będzie przy tem postępował jako socyalista i czynami będzie się starał pozyskać zaufanie robotników. Rzeczą jego jest przewidywać potrzeby



Nowy gabinet we Francyi: Generał Picquart, nowy minister wojny.

robotników i dbać przytem o ich wolność. Robotnicy zaś muszą o tem pamiętać, że emancypacyą swą zawdzięczać mogą tylko ciągłemu postępowi, a nie „polityce katastrof". Mowa Vivianiego podobała się wielce na lewicy, a na wniosek jednego z deputowanych, uchwaliła Izba afiszować jej treść po całym kraju. Poczem przyjęto kredyt dla nowego ministerstwa w nowym gabinecie Clemenceau.

Nowy ten gabinet odniósł niebywałe zwycięstwo na posiedzeniu Izby, kiedy Clemenceau, groźny dotąd jako pogromca gabinetów, przedstawił swój program polityczny. Izba wysłuchawszy tego programu niezwykle obfitego, uchwaliła — rzecz niesłychana — bez dyskusyi nad programem gabinetu ogromną większością votum zaufania dla nowego rządu. Tak walne zwycięstwo na samym wstępie odniesione przez Clemenceau, wprawiło wszystkich w zdumienie. Prasa widzi w tem nowe zwycięstwo idei republikańskiej, nowy dowód, jak silną jest ona dziś we Francyi.

Nowoczesne walki gladyatorów.

Gladyatorami od łacińskiego „gladius" (miecz) nazywali się u Rzymian szermierze, którzy, jak wiadomo, na igrzyskach publicznych pasowali się ze sobą na śmierć i życie. Zwyczaj ten przeszedł z Etruryi, gdzie podobnego rodzaju walki odbywały się pierwotnie przy uroczystościach pogrzebowych, zamiast jeszcze dawniejszych ofiar z ludzi. Znano jednak te walki i w innych miejscach Włoch, zwłaszcza w Kapui. W samym Rzymie po raz pierwszy widowisko walk gladyatorskich dali w roku 265 przed Chr. na pogrzebie swego ojca bracia Marek i Decymus Brutusowie. Wkrótce potem poczęły się one coraz bardziej rozpowszechniać nawet bez podobnej okazyi, a ze stolicy przeszły



Nowy gabinet we Francyi: Rene Viviani, szef nowego ministerstwa robotniczego.

z czasem i na prowincyę w tym charakterze, aż stały się namiętnie ulubionemi zabawami ludu rzymskiego, tego ludu, który zwykł w starożytności domagać się głośno „chleba i igrzysk!"... Za rzeczypospolitej rzymskiej urządzali je zwykle edylowie, za cesarstwa cesarzowie, przeznaczając na igrzyska z walkami gladyatorów sumy ogromne. Już w 183 r. przed Chr. na jednej uroczystości tego rodzaju walczyło 120 ludzi. Cesarz Kommodus sam brał udział w tych igrzyskach. Z walkami gladyatorów łączono niekiedy i walki zwierząt. Za Trajana np. jak sobie Czytelnicy przypominają z historyi, trwały te walki aż 123 dni, a walczyło w nich tysiąc gladyatorów, zabito zaś przy tem 11 tysięcy zwierząt. W dawniejszych czasach odbywały się takie zapasy na „forum", później w zbudowanym ku temu celowi amfiteatrze. Gladyatorami byli przeważnie niewolnicy, zwłaszcza jeńcy wojenni, niekiedy zaś skazani przestępcy, jakoteż ochotnicy. Tłumami utrzymywano i ćwiczono gladyatorów w Rzymie i po innych miastach, szczególniej zaś w Kapui i Rawennie, w odpowiednio urządzonych zakładach. Możnowładcy rzymscy posługiwali się niejednokrotnie gladyatorami w walkach domowych. Różnili się między sobą gladyatorowie sposobem uzbrojenia; główny podział był na ciężko i lekko uzbrojonych. Grecy, u których walki atletów daleko więcej ludzką były zabawą, powoli oswoili się z okrutnemi widowiskami gladyatorów, wyjąwszy tylko jednych Aten, gdzie się nigdy przyjąć nie chciały. Dopiero około 5-go wieku po Chrystusie ustąpiły walki gladyatorów przed wzmagającym się wpływem chrześcijaństwa.

Aż oto po tylu stuleciach sport ten starożytny

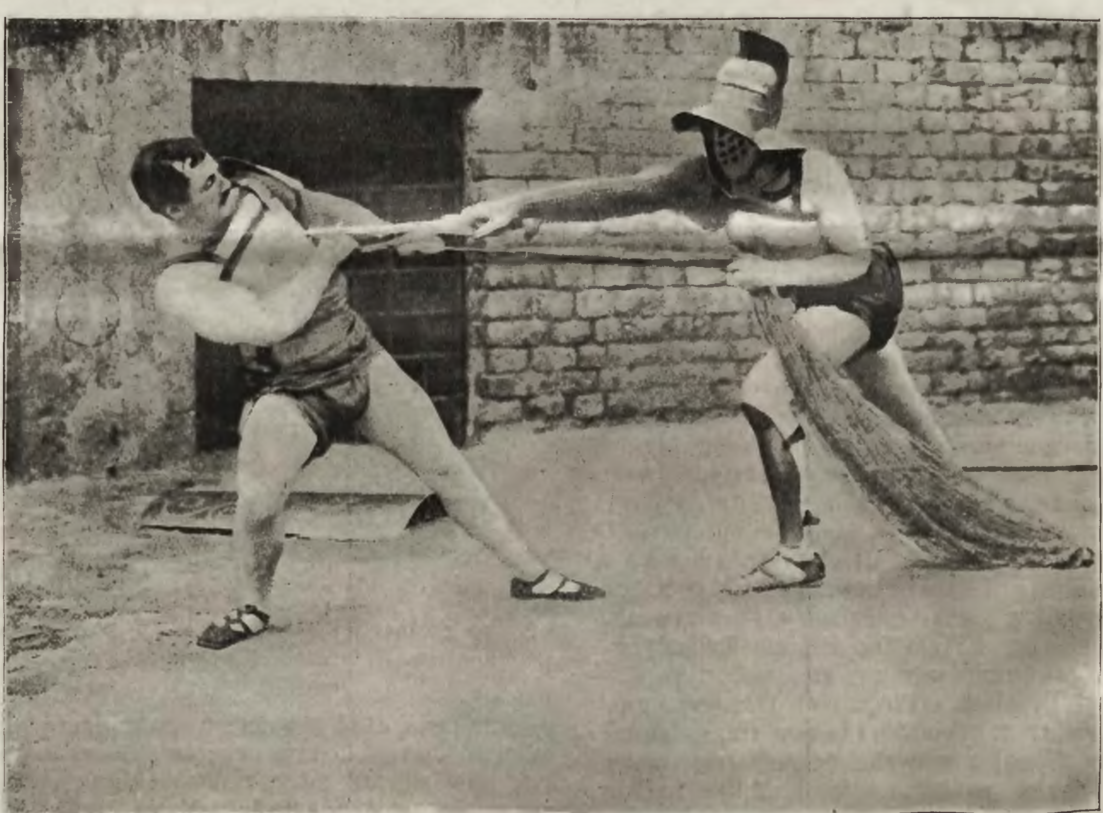


Nowy gabinet we Francyi: Millies-Lacroix, nowy minister kolonij.

tny wskrzesili teraz w Paryżu dwaj atleci francuscy, profesor Dubois i mistrz del Prat. A wystąpienie ich jest o tyle na czasie, iż właśnie pokolenie dzisiejsze zaczyna tęsknić za odrodzeniem fizycznem i powraca chętnie do zarzuconych przez przodków, a tak gorąco zachwalanych przez starożytnych ćwiczeń cielesnych Wszelkie sporty, mające na celu zdrową gimnastykę ciała i rozwój sił fizycznych wycieńczonych społeczeństw — rozpowszechniają się dziś coraz bardziej i zdobywają sobie z każdym rokiem większe powodzenie. Nie dziw, że i wskrzeszenie walk gladyatorów spotkało się z dobrem przyjęciem w Paryżu i znalazło nietylko tysiączne tłumy chętnych widzów, ale nawet licznych zwolenników i wyznawców tego najnowszego, a przecież jednego z najstarszych sportów. Łatwo się domyśleć, że walki gladyatorów XX. wieku nie przypominają swego starożytnego pierwowzoru charakterem okrutnym. Rzecz prosta, że na arenie dzisiejszej „Lutecyi" (jak nazwali Rzymianie stolicę plemienia celtyckiego Parisii przed podbiciem Galji) krew się nie leje. Przy użyciu klasycznych form i środków, wykluczono jednak z obecnych zapasów gladyatorów wszystko, coby mogło przedstawiać niebezpieczeństwo dla zdrowia lub życia ludzkiego. Zamiast szczegółowego opisu, jak wyglądają i jak są do walki uzbrojeni zapaśnicy, dajemy na rycinach wyraźne podobizny nowoczesnych gladyatorów z areny paryskiej. U jednego z nich widać w ręku sieć. Otóż jego głównem zadaniem jest powalić przeciwnika przy pomocy tej sieci, a rzeczą tamtego robić na arenie tak zręczne poruszenia, obroty i skoki, byle uniknąć dostania się w sieć. Na znak zwycięstwa przeciwnik wlecze o kilka kroków dalej po arenie powalonego gladyatora, którego nogi zaplątały się w siatkę.



Nowoczesne walki gladjatorów w Paryżu: Tak wyglądają zapaśnicy uzbrojeni.



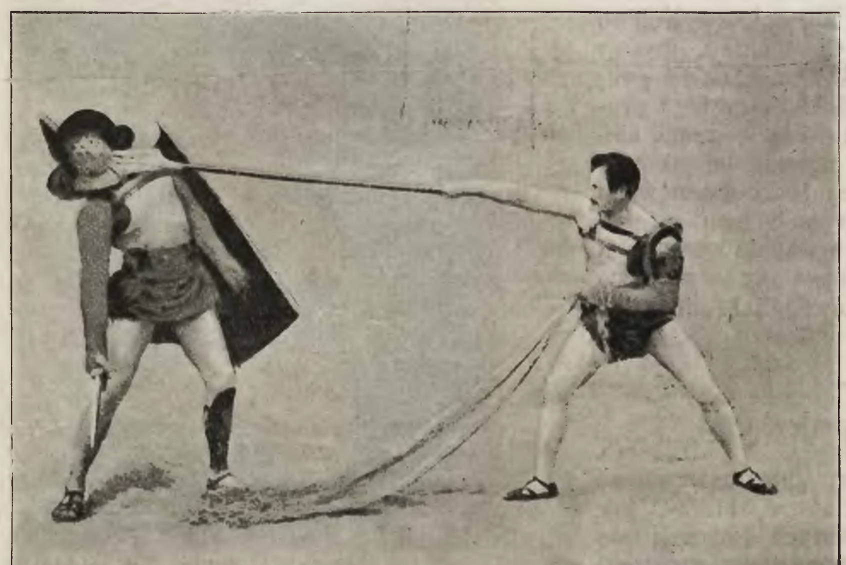
Nowoczesne walki gladjatorów w Paryżu Epizod z zapasów.

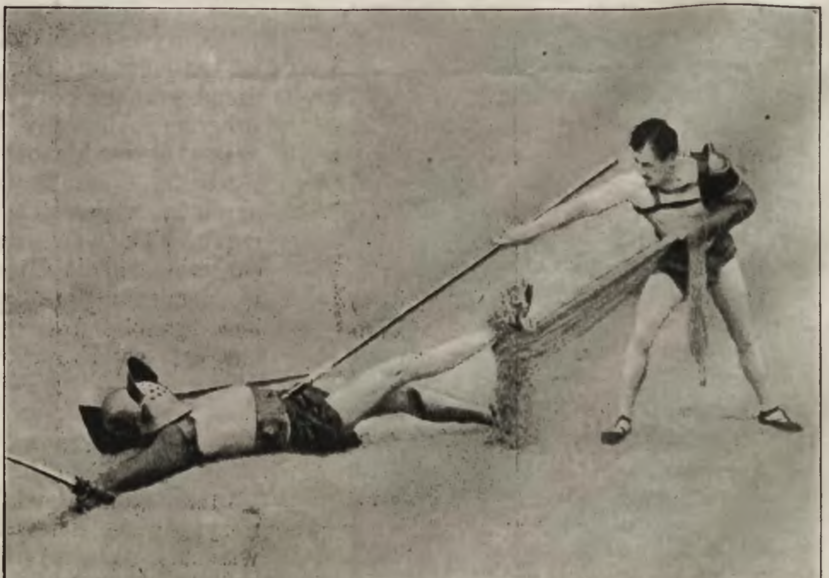
Nowe źródła bogactwa krajowego.

Przemysł naftowy, który w przeciągu kilkunastu lat tak wspaniale w naszym kraju się rozwinął, który tylu tysiącom rąk dał dostatni zarobek, pozostanie jeszcze na wiele lat prawdziwem źródłem bogactwa krajowego. To też z radością witać należy powstanie każdej nowej kopalni nafty, jako nowego posterunku przemysłu krajowego, zwłaszcza jeśli tworzą ją nie spekulanci zagraniczni, lecz obywatele kraju, znani i zasłużeni w życiu publicznem.

Taką właśnie kopalnię założono w ostatnich dniach w Rypnem, małej górskiej wioszczynie w powiecie dolniańskim. Miejscowość ta już od wielu lat znaną była jako roponośna Pierwszy stwierdził to Stanisław hr. Skarbek. W kilkanaście lat później zwrócił na tę miejscowość uwagę, twórca przemysłu naftowego w Galicyi, śp. Stanisław Szczepanowski, a przekonawszy się, że tereny w Rypnem bogate są w naftę, rozpoczął do spółki z p. Perkinsem eksploatacyę tych terenów. Pierwsze próby wypadły najzupełniej pomyślnie, bo już przy głębokości 200—300 m. dobywano około 100 cystern miesięcznie. W stanie rozkwitu i rozwoju nabyła tę kopalnię wraz ze Schodnicą spółka belgijska. Spółka ta jednak z całą forsą rzuciła się na Schodnicę, zaniedbała zaś Rypne. Tymczasem bezowocne wiercenia pochłonęły olbrzymie sumy i spowodowały bankructwo tej firmy, zanim bogactwo naftowe Rypnego zostało wykorzystane.

Ponownie rozpoczęto eksploatacyę terenów w Rypnem dopiero w ostatnich tygodniach. Kiedy mianowicie znakomici geologowie, dr. Tietze z Wiednia i prof. dr. Zuber ze Lwowa, przeprowadziwszy dokładne studya na miejscu, orzekli, iż Rypne ma dla przemysłu naftowego niezawodną przyszłość, zawiązała się we Lwowie „Spółka naf-





Nowoczesne walki gladjatorów w Paryżu: Epizody z zapasów.

towa Rypne“, jako Tow. udziałowe z ograniczoną poręką. Na czele Tow. stoi Rada nadzorcza, w której zasiadają ludzie bardzo poważni, a to: profesor politechniki R. Załoziecki, dr. T. Bałaban, dr. Stefan Bartoszewicz, redaktor „Nafty“, dalej dr. B. Diamand, inż. W. Podhorodecki, adw. dr. Ungar, adw. dr. Witlin i inż. W. Wolski. Również nazwiska członków dyrekcyi, radnego m. Lwowa dr. E. Liliena i znanego popularyzatora wiedzy, redaktora „Przemysłowca“ inż. E Libańskiego, oraz przemysłowca p. Horowitza dają rękojmię, iż sprawy spółki nie będą lekkkomyślnie prowadzone. Organizacya „Spółki“ jest tem odrębna od innych spółek naftowych, że jest zorganizowaną na zasadach Tow. udziałowych Ilość udziałów ograniczono do wysokości 75.000 kor.

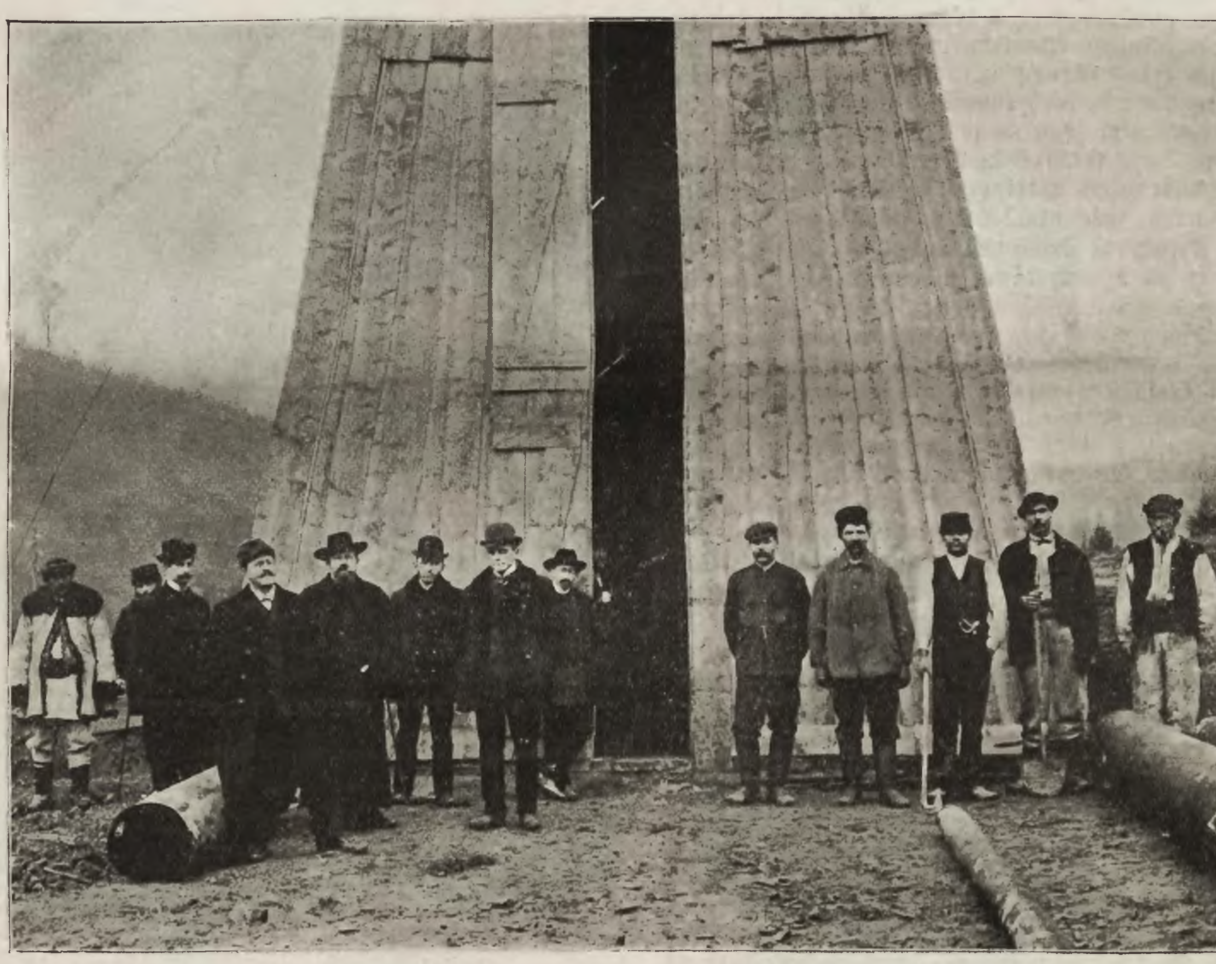
W zeszłym tygodniu przystąpiono do otwarcia pierwszego szybu, w obecności członkow dyrekcyi i grona wspólników. Rycina nasza przedstawia zgromadzonych w dniu otwarcia kopalni członków dyrekcyi, kierowników przedsiębiorstwa wiertniczego i robotników.

Strejk introligatorski.

W siedemnastu pracowniach introligatorskich, wyłącznie chrześcijańskich, wybuchł w Krakowie strejk czeladników. W żydowskich warstatach pracy nie przerwano. W strejku bierze udział przeszło 150 osób, w czem większość, bo około 90, robotnic. Grupę strejkujących przedstawia nasza rycina. Bezrobocie wybuchło skutkiem odrzucenia przez majstrów głównych żądań czeladzi. Między innemi postulatami żądają mianowicie robotnicy introligatorscy przeszło 40% podwyższenia wynagrodzenia dotychczasowego; dalej dopominają się od swych majstrów skrócenia dnia pracy, oraz przerw w robocie na śniadanie i podwieczorek. Nadto idzie im o ograniczenie przyjmowania do nauki przez majstrów uczniów i dziewcząt po pracowniach. Żądają też pracownicy introligatorscy założenia biura pośrednictwa pracy przy organizacyi robotników z subwencyą roczną ze strony majstrów w wysokości 200 koron. Wreszcie chcą uznania mężów zaufania organizacyi, wybieranych przez zgromadzenia robotników poszczególnych pracowni. Żądań powyższych, jak wspomnieliśmy, nie przyjęli majstrowie, wobec tego czeladnicy przystąpili do strejku i od tygodnia toczą się teraz układy i pertraktacye w sprawie postulatów robotników między ich delegatami a majstrami. W chwili gdy piszemy te słowa, do porozumienia jeszcze nie przyszło.

Nowy kierownik Zakładu drohowyzkiego.

Dotychczasowy inspektor kolejowy i naczelnik warsztatów kolejowych w Stanisławowie, inż. Feliks Blauth, przeszedłszy po wysłużeniu dwudziestu kilku lat na emeryturę, objął za wolą kuratoryi fundacyi hr. Stanisława Skarbka, oraz Wydziału krajowego, w tych dniach obowiązki kierownika warsztatów w zakładzie sierót w Drohowyżu Z nominacyą tą wiążą się dla zakładu drohowyzkiego duże nadzieje, p. Feliks Blauth bowiem nietylko, że jest fachowym, znakomicie uzdolnionym inżynierem maszynowym, ale pełnym energii życiowej i przedsiębiorczości człowiekiem, oraz dzielną w życiu publicznem jednostką. Dla Zakładu drohowyzkiego, zamierającego z powodu braku silnej ręki, nabytek tak rzutkiego i obowiązkowego człowieka, jakim jest pan Feliks Blauth, może stanowić po prostu erę w jego przyszłym rozwoju, czego zarówno tej znakomitej instytucyi fundacyjnej, jak i całemu krajowi, z całego serca życzyć wypada.



Nowe źródła bogactwa krajowego: Członkowie dyrekcyi i kierownicy przedsiębiorstwa wiertniczego, zgromadzeni w dniu otwarcia nowej kopalni nafty w Rypnem, gdzie w ostatnich tygodniach rozpoczęła eksploatacyę terenów nowa spółka udziałowa, we Lwowie zawiązana.



Fot. apar. red. dla „Now. Illustr.“ W. Lis w Krakowie.

Strejk introligatorski: Grupa strejkującej w Krakowie czeladzi introligatorskiej z pracowni chrześcijańskich, zebrana w parku Jordana.

Strejk kominiarzy.

Między stowarzyszeniami zawodowemi w Galicyi, organizującemi się pod sztandarem narodowym, powstał niedawno „Polski Związek Towarzyszy kominiarskich“ z główną siedzibą we Lwowie i z okręgami powiatowymi w różnych miastach, jak np. w Przemyślu, w Stanisławowie i t. d. Ma on na celu nie tylko obronę spraw zawodowych członków, lecz także pielęgnowanie ducha narodowego. Organizatorami jego są p. Emilian Ciesielski, literat i p. Jerzy Grodyński, technik. Pierwszy cieszy się popularnością w sferach młodzieży rękodzielniczej, drugi jest ulubieńcem młodzieży akademickiej. Z pomocą dzielnych członków założycieli kominiarzy pp. Mieczysława Blicharskiego, Antoniego Witkowskiego i Feliksa Sękowskiego stosunkowo w krótkim czasie zorganizowano niemal wszystką czeladź wschodniej Galicyi. Przed trzema tygodniami czeladź lwowskiego okręgu wysunęła słuszne żądania ekonomiczne, gdyż dotychczasowe warunki pracy i płacy kominiarzy są wprost opłakane, pomimo, że zawód ich wielką rolę odgrywa w społeczeństwie, kominiarze bowiem są istotnymi obrońcami mienia i życia ludzkiego. Skoro jednak majstrowie odmówili żądaniom, zbywając lekceważąco upominania się o polepszenie bytu, czeladź odpowiedziała strejkiem, który rozpoczął się 7 listopada. Strejk w dziejach zawodu kominiarskiego u nas jest bardzo rzadki. We Lwowie były dotychczas dwa strejki, pierwszy w r. 1874, drugi w 1890, które były wprawdzie wygrane, ale nie odniosły pożądanego skutku. Ugoda z pierwszego i drugiego strejku nie weszła w życie dla braku organizacyi. W całym Lwowie pracuje zaledwie dwóch kominiarzy, którzy jeszcze nie przystąpili do Związku. Powaga i wielki spokój panują wśród strejkujących. Publiczność lwowska jest dla nich przychylnie usposobiona. O solidarności zaś, jaka panuje między kominiarzami, niech posłuży fakt, że trzej pp. Blicharscy, Dyonizy, Stanisław i Teofil zajęci w ojcowskim zakładzie kominiarskiem zaniechali także pracy, pomimo bardzo dobrych warunków.

Tragiczne zajście.

Przed tygodniem jechał w odwiedziny do domu byłego radcy szkolnego z Krakowa p. Czesława Pieniążka w wiosce Łęka siedlecka, młody przedsiębiorca z Warszawy, bawiący chwilowo w Galicyi 35 letni Stanisław Graybner, syn znanego literata i publicysty. Wieczorem wysiadł na stacyi kolejowej w Bogumiłowicach i wyszukawszy sobie wóz parokonny, powożony przez włościanina Boryczkę, pojechał do Łęki.

Kiedy mijali wieś Wierzchosławice, zmierzając w stronę Rudki, zaczepiło ich pięciu czy sześciu chłopaków, którzy wykrzykując, zaczęli ciskać kamienie, z tych jeden wpadł nawet do wozu. Woźnica uprzedził p. Graybnera, że Wierzchosławice znane są z tego, iż mnóstwo opryszków opada po drodze zazwyczaj podróżnych i wogóle trudno komukolwiek spokojnie przez tę wieś przejechać. Na skutek zaczepki wyjął więc p. Graybner rewolwer browning i strzelił w powietrze dla postrachu, wołając donośnie, żeby go nie zaczepiano. „My ci tu postrzelamy — zakrzyknęli napastnicy — my cię nauczymy, mamy także broń!“... I kiedy wóz potoczył się szybciej na zakręcie drogi, pobiegli na przełaj przez pole i groźniej na wóz tym razem napadli. Posypały się na podróżnego kamienie, z których jeden trafił furmana. Paru napastników chwyciło za cugle. P. Graybner powtórnie zagroził, że będzie strzelał, lecz widząc, że groźba jego nie skutkuje, a napastnicy nacierają coraz niebezpieczniej, stanął w wozie i dał trzy strzały, których skutek był fatalny dla opryszków. Dwaj chłopi padli trupem na miejscu; jeden ma przestrzelone serce, drugi płuca. Nazywają się: Franciszek Odbierzychleb (żonaty) i Bartłomiej Padło (kawaler); trzeci jeszcze ma prawe ramię strzaskane kulą z browninga. P. Graybner udał się do Tarnowa, gdzie przesłuchał go sędzia śledczy i zaczął dochodzenie sądowe.

Rycina nasza na stronie 13-ej przedstawia właśnie tragiczny moment fatalnych strzałów z wozu.



Nowy kierownik Zakładu drohowyskiego: Inżynier Feliks Blauth, były naczelnik warsztatów kolejowych, w Stanisławowie, mianowany kierownikiem warsztatów w zakładzie sierot w Drohowyżu.



Fot. M. Münz, Lwów.

Strejk kominiarzy: Grupa strejkujących we Lwowie czeladników kominiarskich.

TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

5 Ciąg dalszy.

— Biednaś ty Floro – zawołał Arnold, całując ją serdecznie — tyle nieszczęść spadło naraz na ciebie! Najpierw umiera ciotka Alicya, potem stryj ginie bez śladu, a na dobitek kona wierna Anna!

— No — ale śmiem się spodziewać, że los się odmieni i szczęście znowu się do nas uśmiechnie! Lecz gdzież jest Anna? Chciałbym ją natychmiast zobaczyć.

Doktor Viret stanął poważnie w progu.

— O ile wiem, nie złożyłeś pan dotąd egzaminów lekarskich?

— Racya! racya! – odparł z uśmiechem Arnold — nie chciało mi się ślęczeć ciągle nad książkami. Bardzo mi przykro, że Anna umierająca! No do widzenia panie doktorze! Zobaczymy się dziś jeszcze? prawda?

— A teraz Floro — rzekł zwracając się do kuzynki po odejściu doktora — daj mi się czegoś napić i opowiedz mi szczegółowo całą tę smutną historyę. Słyszałem o tem już od Edwarda, ale wolę zaczerpnąć ze źródła. Zaczynaj zatem! Ale! Ale! powiedz no mi, jak ci się teraz podobam bez brody?

— Pierwej przypominałeś mi więcej ojca.

Podobieństwo między Arnoldem a stryjem było uderzające, o ile pozwalało na to porównanie starca z silnym i barczystym młodzieńcem. Obaj niscy, dobrze zbudowani, mieli rysy łudząco podobne. Nawet ruchy ich były te same, wskutek kilkoletniego pobytu Arnolda u stryja, a kto słyszał Arnolda, byłby przysiągł, że mówi stary Derwent. Mimo to charaktery i usposobienia ich różniły się ogromnie, co dawało niejednokrotnie powód do ostrych zajść i scen, między synowcem a stryjem, jakie w czasach ostatnich zwłaszcza, były na porządku dziennym.

ROZDZIAŁ XI.

Plany Arnolda na przyszłość.

— Spodziewam się, że palić i pić wolno — zapytał Arnold, skoro Flora uczyniła zadość jego życzeniu. Jakkolwiek z niechęcią, gdyż pamiętała dobrze o tem, jak stary Derwent nie znosił tytoniu, zgodziła się i na to ustępstwo, a usiadłszy wygodnie na fotelu, poczęła dokładnie opowiadać, jakie okoliczności towarzyszyły tajemniczemu zniknięciu jej ojca.

— Czy nikt nie słyszał, jak stryj wychodził krytycznej nocy? — zapytał Arnold, zainteresowany wysoce opowiadaniem kuzynki.

— Nie widziano w tym czasie jakiejś podejrzanej osoby, jakiegoś obcego człowieka?

— Tejsamej nocy wtargnęli tylko jacyś ludzie do domu Askera, dotąd nie mogła jednak policya wpaść na ich ślady.

— Przypuszczam, że ci złoczyńcy, znajdując się w bezpośredniej bliskości stryja, mogliby dać jakieś wyjaśnienia. Na razie — powiadasz — nie schwytano tych drabów? No, a na kogoż pada podejrzenie.

— Niema najmniejszych podejrzeń. Sprawa niewyjaśniona dotąd i pozostanie zdaje się na zawsze tajemnicą. Chociaż inspektor Holt twierdzi uporczywie, że ojciec żyje, tracę jednak powoli nadzieję, gdyż trudno przecież przypuścić, aby nie chciał dać znać o sobie, jeśli powodując się jakimś zewnętrznym popędem, opuścił nasze strony po śmierci ukochanej matki.

— Na cóż się przyda drażnić ranę na nowo? Zdaniem mem, powinnaś śmiało patrzeć w przyszłość i całą tę sprawę uważać za załatwioną. Holt, jest ostatnim łajdakiem! Radzę ci nie wierzyć mu zupełnie, lepiej na tem wyjdziesz, bądź pewna!

— Czy to prawda Arnoldzie, że nie dostałeś listu Edwarda? Tak prędko po otrzymaniu smutnych wiadomości nie mógłbyś przecie przyjechać z tak daleka! Co za szczęście, że jechałeś właśnie do domu! A bałam się ogromnie, że list cię nie dojdzie!

— Prawdopodobnie byłoby tak, jak powiadasz! Wędrowałem bowiem z miasta do miasta! Na jednem miejscu usiedzieć nie mogę, mam w sobie dużo krwi cygańskiej.

— Dlaczego zdecydowałeś się jednak w tej chwili wrócić do Anglii? — pytała uporczywie Flora. Powiadają, że przeczucia, to fantastyczne bzdury, co do mnie jednak wierzę w nie święcie! Arnold zaśmiał się z cicha.

— Gdzie tam Floro! — zawołał rozbawiony — nie miałem takich ponurych przeczuć zupełnie. Czy ty faktycznie nie wiesz, dlaczego przyjechałem tutaj właściwie?

Panna Derwent nie spodziewała się i nie pragnęła dowiedzieć się o tem. Spytała go zatem wymijająco:

— Kiedy wyjechałeś z Przylądka Dobrej Nadziei?

Promienie słoneczne igrały teraz wesoło po jej cudnej twarzyczce, i pięknych blond-włosach czyniąc ją podobną do jakiegoś nieziemskiego zjawiska.

— Pozwól, niech sobie przypomnę — przed dwoma niespełna miesiącami — odpowiedział z zakłopotaniem, które nie mogło ujść uwagi panny Flory.

— Przypuszczałem, że wylądowałeś w Southampton dopiero wczoraj — odparła Flora, zdziwiona niemile — jak długo trwa ta podróż do Anglii? Pewnie nie dwa miesiące!

Zakłopotanie Arnolda poczęło się zwiększać, aż nazbyt widocznie. Wyprostował się nieco, pociągnął parę razy z fajki i spojrzawszy uważnie na Florę, odezwał się po chwili głosem donośnym:

— Czas wyznać ci prawdę Floro!

— Spodziewam się też tylko szczerej prawdy! — odparła panna Derwent poważnie.

— Ba! Gdybyśmy mogli zawsze otrzymać to, czego spodziewamy się — rozpoczął Arnold swą spowiedź. Sama musisz przyznać, że zamiast tej szczerej prawdy, mogłabyś posłyszeć z ust moich jakąś cudną bajeczkę zręcznie ułożoną i musiałabyś się tem najzupełniej zadowolnić. Lecz wrodzona mi szczerość, nie pozwala mi na to. Śmiało wyznam ci tedy, że zatrzymałem się na Teneryfie, gdzie udało mi się odnaleźć trochę dyamentów!

— Myślałam, że pojechałeś dalej w zamiarze wstąpienia do konnej policyi.

— To była myśl stryja — nie moja! — Wylądowawszy w Natalu, zwróciłem się natychmiast do Kimberley, zarobiłem, jak mówię, dosyć. Żyłem sobie najszczęśliwiej, nie zbywało mi na niczem, gdy nagle opanowała mnie taka tęsknota, taki żal za opuszczoną ojczyzną, za stryjem i za tobą wreszcie, że porzuciłem wszystko, choć szczęście uśmiechało się do mnie i nie namyślając się dłużej wsiadłem na odjeżdżający właśnie statek, który mnie przywiózł, do Anglii. Na nieszczęście jestem troszkę lekkomyślny — sam to przyznaję ze skruchą — lecz klnę się na wszystko, że postanowiłem się wtedy poprawić. Miałem zamiar paść na kolana przed stryjem, prosić go o przebaczenie i przy pomocy pieniędzy uzbieranych krwawą pracą w Natalu, studyować dalej medycynę. Chciałem złożyć egzamin, i ze świadectwem w kieszeni przybiedz znów do was moi kochani, ażeby.....

— Co zrobiłeś jednak właściwie? — pytała dalej Flora badawczo.

— Odpłynąłem szczęśliwie z Teneryfy. Lecz brak mi silnej niezłomnej woli. Doszedłem też niebawem do przekonania, że nie wytrwam nigdy w raz wytkniętej pracy; nieraz racyę przyznawałem stryjowi, kiedy występował przeciwko mej opieszałości, lecz trudno — taki na świat przyszedłem i tak im też do końca mego życia — pozostanę niewolnikiem przypadkowych okoliczności.

— Jeśli pozwolisz im kierować sobą — odparła poważnie Flora. Pomyślała sobie w tej chwili o Owenie Fairfordzie.

— Nie chcę wydawać się lepszym, niż jestem rzeczywiście, bo i na cóż mi się to przyda? Wyznałem szczerze wszystko co mogłem powiedzieć, w tem świętem przekonaniu, że przecież nie zasługuję na potępienie!

— Prosiłam cię o wyjaśnienie, dlaczego przybyłeś jednak niezwłocznie do Angli?

— Wyznam ci wszystko otwarcie! Muszę przyznać ze wstydem, że zarobione pieniądze paliły mnie poprostu w kieszeni. Początkowo miałem zamiar pozostać do końca na okręcie, kiedy patrzałem jednak, jak inni siadali do czółen, ażeby zabawić się na lądzie, porwała mnie taka szalona ochota rozerwania się troszkę, że nie namyślając się długo wkroczyłem do łodzi, i w parę minut byłem już daleko od okrętu. Tutaj dostałem się w towarzystwo wcale wesołe, piliśmy troszkę, na okręt spóźniłem się naturalnie i nie pozostało mi nic innego, jak odbyć dalszą podróż na „Radnorze“.

Wszystko to opowiedział jednak Arnold, w sposób tak dalece zabawny i wesoły, że Flora zapomnieć musiała o gniewie. Humor Arnolda rozbroił ją zupełnie. I byłaby może pogodziła się z nim ostatecznie, możeby w końcu przyszło do jakiegoś porozumienia między nimi, gdyby nie myśl okropna, że Arnold przecież nieludzko postąpił, kiedy wspominał o śmierci jej ojca, jakby o rzeczy najobojętniejszej. Nie gniewała się na niego z powodu jego lekkomyślności, z którą mu nawet było do twarzy, chodziło jej teraz o to tylko, że tajemnicze zniknięcie jej ojca, dla niej wysoce przykre i bolesne, było właściwie na rękę Arnoldowi. Poznać to było łatwo, gdyż Arnold nie krył się z tem wreszcie, że jest wysoce zadowolony z powodu niespodziewanej zmiany.

— Jakie masz plany na przyszłość? — spytała zaciekawiona Flora — musiałeś się przecie zastanowić już nad tem, skoro zdecydowałeś się razem z nami pozostać.

— Na razie nie powziąłem jeszcze nic stanowczego!

— Mówiłeś, że masz zamiar, składać egzamin?

— Chciałem tak też postąpić. Ale widzisz plan ten minął już dawno. To było jeszcze w czasie, kiedy nie mogłem się nawet spodziewać, że sprawa weźmie tak pomyślny dla mnie obrót. Wiesz przecież o tem dobrze — pomówimy zresztą później o tem obszerniej, że według praw angielskich, jestem jedynym spadkobiercą stryja.

— Jeśli stryj umarł rzeczywiście, Arnoldzie!

— Czyż możesz przypuszczać nawet, iż żyje jeszcze? Wszak sama przyznałaś, że straciłaś już wszelką nadzieję!

— To prawda, chociaż serce mówi mi co innego! Lecz jak ci tę sprawę w końcu wyjaśnić!? Jeśli przyjdzie naprzykład inspektor Holt i wszelkiemi siłami stara się mnie przekonać, że ojciec żyje dotąd, tracę coraz bardziej nadzieję i w końcu muszę przyznać, że umarł, gdyż dałby przecież znać o sobie i nie wydawał mnie na pastwę niepewności i rozpaczy. Gdy słyszę znowu twoje zapewnienia, że ojciec umarł bezsprzecznie, że sprawa to tak pewna, jak to, na co patrzymy własnemi oczyma, że nie powróci nigdy i że cały majątek ma przejść w twe ręce — wtedy burzy się coś we mnie i zdaje mi się, że w głębi mej duszy słyszę gorący protest. Wtedy najmniejsza drobnostka przywraca mi utraconą nadzieję, wtedy wierzę tak święcie w niechybny powrót ukochanego ojca, że gotowa jestem śmierć ponieść, aby cię o tem przekonać.

— Przyznaję, że bezpośrednich dowodów śmierci stryja nie mamy, postaram się zatem o nie możliwie najrychlej i przekonasz się wtedy, po czyjej stronie racya, — stary wytrawny Edward dał mi już radę, najpierw trzeba zwierzynę wyśledzić, a potem dopiero strzelać.

— Sądzisz, że obowiązkiem twoim zatem wyśledzić morderców, aby ich wydać w ręce sprawiedliwości, skoro zgodzimy się na popełnienie zbrodni? — spytała Flora wzburzona.

— Nie inaczej moja droga — na nich nie zależy mi zupełnie — cóż mnie to zresztą może obchodzić, czy ich dziś lub jutro powieszą, chodzi mi jednak o niezbite dowody, że stryj rzeczywiście umarł.

— Wątpię, czy ci się to uda tak łatwo! Policya robiła, co mogła, a jednak rezultaty niezadawalniające. Inspektor Holt, któremu przeznaczono tę sprawę, nie może odkryć najmniejszego śladu zbrodni, przypuszcza zatem, że ojciec żyje dotąd.

— Tu jest właśnie różnica między mną a inspektorem Holtem, dla niego to najzwyklejszy interes, dla mnie zaś więcej, — walka, na śmierć i życie — jestem bowiem bez centa.

Flora powstała oburzona, pierś jej falowała, gniew widniał w jej zwykle pogodnych oczach.

— Jak można w takiej chwili myśleć o pieniądzach — zawołała z wyrzutem — jakżeś poniżyłeś się w mych oczach Arnoldzie — ach to okropne! Cóż mi po złocie, po majątku całym, skoro ojciec nie wróci?

— Nie przypuszczaj jednak Floro — powiedział Arnold, podnosząc się również z miejsca, że nie będę o tobie pamiętał. Nieszczęście to i na mnie spada, postaramy się znosić je we dwoje. Ale pozwól wytłumaczyć sobie, że stryj nie powróci, skoro raz umarł. Jestem bez centa przy duszy, tutaj widzę, spada nagle z nieba wcale ładny majątek — no nie byłbym chyba człowiekiem, gdybym nie starał się zabezpieczyć go sobie. Nie chcę wydawać się lepszym, niż jestem, dlatego wyznaję ci szczerą prawdę, bez ogródek.

Panna Derwent była bliską utraty zmysłów. Jak szalona wybiegła z pokoju i spotkała się

dopiero z Arnoldem przy drugiem śniadaniu. Nie chciała już o stryju rozmawiać, gdyż czuła, że musiałaby tym razem ostrzej przeciwko Arnoldowi wystąpić, a tego nie życzyła sobie. Rozmowa ich skierowaną była na rzeczy najzupełniej obojętne.

— Przypadkowo spostrzegłem, że „Leśne Ustronie“ zajęte — któż wynajął mieszkanie? Z pewnością jacyś starzy znajomi?

— Pan Fairford serdeczny przyjaciel ojca — mieszka w Rookfield od trzech miesięcy.

— Pewnie szczwany lis, skoro przyjaciel stryja.

— Pan Fairford jest i moim przyjacielem, troszkę starszy od ciebie.

Popołudniu nadeszły rzeczy Arnolda. Arnold dorwawszy się klucza od składu wina, udał się natychmiast do piwnicy, a skoro wyszedł po godzinie, miał twarz tak rozpaloną, że przestraszył niemało pannę Derwent.

— Ależ tu cicho u was — odezwał się po chwili, rzucając się na sofę. Spodziewam się niedługo pewnego serdecznego przyjaciela, będzie nam trochę weselej! Będę miał dużo zajęcia niebawem, no ale to się zrobi jakoś — wybacz kuzynko — dodał po chwili z rozczuleniem, — że zapomniałem na chwilę o tobie i pozostawiłem cię samą w pokoju.

— Nie nudziłam się wcale! Byłam u Anny, a gdy o niej pomyślę, łzy stają mi w oczach.

— Stara poczciwa Anna! — to była dzielna piastunka, szkoda, że już ucieka z tego padołu płaczu, ale — dodał po chwili z namaszczeniem — wszyscy musimy umierać. Prędzej czy później zapuka do nas nielitościwa śmierć, musimy podążyć, nie pomogą krzyki, protesty. „Używaj żywota, póki jesteś młody“ powiada poeta, ja zgadzam się na to całkowicie, boję się tylko, czy ty Floro podzielasz moje zdanie?

— Moje zdanie nie ma żadnego znaczenia! odparła Flora, siadając przy fortepianie.

— Dlaczego nie?

— Skoro ojciec nie żyje, majątek przechodzi na ciebie, nie mam tu żadnego prawa.

— Jak możesz mówić coś podobnego! Wiesz przecie dobrze, że bez ciebie nic dla mnie nie znaczy cały majątek.

Podniósł się ociężale z kanapy i wsparł się na jej fotelu.

— Bardzo mi przyjemnie, że jesteś tego zdania — odpowiedziała spokojnie — są też jeszcze inne trudności! Niemam np. gotówki, i gdyby nie doktor Viret.....

— Dzielny doktor, jestem mu szczerze zobowiązany! Tak! tak! to prawda! Bez monety nie podobna żyć! Na razie i ja nie mam majątku i nieraz rozpacz mnie ogarnia, na myśl co ze mną będzie.

— Wybacz Arnoldzie — przerwała Flora rozmowę, — muszę iść zaglądnąć do Anny.

Znalazłszy się w swojem pokoju. zastanowiła się po raz pierwszy poważniej, czyby nie lepiej było zgodzić się na propozycyę doktora i skorzystać bez ceremonii z jego bezinteresownego zaproszenia, gdyż czuła, że dłużej nie będzie mogła pozostać pod jednym dachem z Arnoldem.

ROZDZIAŁ XII.

Fałszywe ślady.

Wiesz co, Floro — zawołał Arnold we środę rano po wizycie doktora Vireta — pójdziemy razem na grób ciotki Alicyi.

Panna Derwent zdziwiła się niemało skąd przyszła nagle taka ochota Arnoldowi, zebrała się jednak szybko i w towarzystwie kuzyna poszła na cmentarz.

W małym koszyczku niosła parę kwiatków polnych i małe grabki, ażeby uporządkować troszkę grób matki.

Gdy przechodzili koło domu Askewa, zwróciła uwagę Arnolda na pałac pułkownika, objaśniając mu przytem, że tutaj skradziono srebra i inne drogie naczynia.

— Tak! Tak! Tędy przechodził biedny stryj owej nocy krytycznej!

— Skądże znowu ta pewność!

— Jestem tego najzupełniej pewny! Wyszedł z pokoju, szedł tą uliczką w stronę cmentarza, gdyż chciał raz jeszcze popatrzeć na świeży grób ciotki.

W parę minut stanęli u celu. Pod wspaniałym cisem widniała czarna tablica, na której złotemi zgłoskami wyryto imiona zmarłych członków rodziny Derwentów. Lata mijały niepostrzeżenie, pokolenia zmieniały się zwolna, stary cis stał majestatycznie, opierając się mężnie burzy i niepogodzie.

Grób Derwentów odgrodzony był murem od strony uliczki, nie widać go było zatem z ulicy.

Flora uklękła z boleścią w sercu na świeżym jeszcze grobie, a z ust jej popłynęła prośba gorąca. Nie utraciła jeszcze nadziei, że ojciec może powrócić, gdyż w niewinności swojej nie mogła nawet przypuścić, aby ją rzeczywiście spotkało tak wielkie nieszczęście.

— Biedna matuchna — powiedziała, zwracając się do stojącego obok niej Arnolda — kiedy byłeś u nas po raz ostatni, była jeszcze zupełnie zdrowa, dlatego dziwnem ci się musi wydawać, gdy ją widzisz teraz w grobie.

— Wybacz mi Floro — odpowiedział Arnold, budząc się z głębokiego zamyślenia — myślałem właśnie o stryju. Twierdzę z wszelką stanowczością, że szedł w stronę cmentarza — gotów jestem przysiądz nawet na to. Chodzi tylko o to, co się stało z nim później.

Flora schyliła się nad grobem i poczęła stroić go kwiatami.

Arnold gwizdał sobie pod nosem jakąś wesołą piosenkę, wlokąc się zwolna w stronę wioski.

Gdy powrócili do domu, spotkali Owena Fairforda.

— Czy to ten Fairford, o którym mi tyle opowiadałaś? — spytał Arnold — proszę cię, przedstaw mnie zaraz!

Panna Derwent zatrzymała się i zapoznała go z Owenem, przyczem przypatrzyła im się obu badawczo. Fairford był wyższy o głowę od niego, lecz nie trzymał się tak prosto jak Arnold. Był smutny i zdenerwowany, gdy pytał o Annę.

— Stan jej pogorszył się znowu — odparł Arnold za Florę — bardzo mi nieprzyjemnie, że dom nasz zmienia się kompletnie w szpital. Szpitalów dosyć widziałem, znam, już ich dosyć. Czy nie zechce pan przyjąć mego zaproszenia na dzisiejszy obiad? O której godzinie Floro?

Owen odmówił kategorycznie, obiecał zjawić się później.

Jeśli pani pozwoli, panno Floro, przyjdę o 9, tak, jak dawniej.

O 9 godzinie zastał Fairford samego Arnolda, Flora była u Anny.

— Flora nie przypuszczała, że pan tak prędko zjawi się, panie Arnoldzie — odezwał się pierwszy Fairford. Lecz zaraz musiał powstać, gdyż w tej chwili weszła do pokoju panna Derwent.

— Rzeczywiście — odpowiedział Arnold — szczęście prawdziwe, że wyjechałem wcześniej. Listy starego Edwarda nie doszłyby prawdopodobnie mnie nigdy, gazety zaś czytam dość rzadko. Czeka mnie jednak wcale trudne zadanie!

— Czy wolno wiedzieć jakie? — spytał Owen, zaciekawiony.

— Muszę dostarczyć dowodów śmierci starego Derwenta.

— No, no, zastanów się pan tylko — mówił dalej Arnold, nie zważając na to, że każde jego słowo głęboko raniło kuzynkę — mamy tak mało punktów oparcia, że wprost trudno przypuścić. Przecież to rzecz niezwykła, aby człowiek tak szanowany i czczony, cieszący się takiem zaufaniem jak stryj, mógł zniknąć bez śladu. Zresztą to jawna rozrzutność z tym tysiącem funtów szterlingów — 500 wystarczyłoby najzupełniej. Ciekaw jestem jaką będzie miał minę dr Viret, gdy zjawię się pewnego pięknego poranku po wyznaczoną nagrodę. Pan pali, panie Fairford?

— Dziękuję bardzo. Paliłem przed chwilą.

— No, może pan przecież zapalić.

— Tutaj w domu pana Derwenta nigdy tego nie uczynię; wiem, iż nie znosił zapachu tytoniu.

— Stary Derwent dawno przecież umarł!

— Arnold! — zawołała panna Flora oburzona w najwyższym stopniu — ile razy prosiłam cię o to, abyś był dla mnie względniejszym. Mówisz o tem jak o rzeczy najpewniejszej w świecie!

— Jakież jest pańskie zdanie w tej sprawie? — zapytał Arnold Fairforda. — Jeśli nie umarł, dlaczego nie powraca właściwie?

— Możemy jednak spytać się w ten sposób: Jeżeli umarł, gdzie są jego zwłoki?

— Bez kwestyi ukryto je! W każdym razie schowano je gdzieś dalej, gdyż byłbym je już odkrył niewątpliwie. W tym celu przybyłem tutaj i żadna moc ludzka nie powstrzyma mnie od tego. Flora wątpi, czy co wskóramy, gdyż policya nie wpadła dotąd na trop złoczyńców, ale ja znam niedołęstwo tego Holta i nie wątpię ani na chwilę, że sprawę wyświetlę niebawem.



— Ależ tu cicho u was — odezwał się po chwili, rzucając się na sofę.

— Czy wolno spytać, w jaki sposób zabierze się pan do rzeczy? — zagadnął Arnolda Owen.

— Rozglądnę się po okolicy i będę badał moich sąsiadów!

— Czy podejrzywa pan kogoś w okolicy? Nie znam tutaj nikogo, gdyż po pierwsze nie dawno tutaj mieszkam, a potem nie poznałem się prawie z nikim.

— Że złożyli nam wizytę złoczyńcy, wiemy o tem wszyscy, w każdym razie — mówił dalej Arnold z przechwałką — postaram się o dalsze wskazówki.

Owen powstał i oparłszy się o kominek, spoglądał ze współczuciem na cierpiącą Florę.

— Panno Floro — odezwał się wreszcie, usiłując położyć tamę słowom Arnolda — posłuchałbym z przyjemnością śpiewu pani.

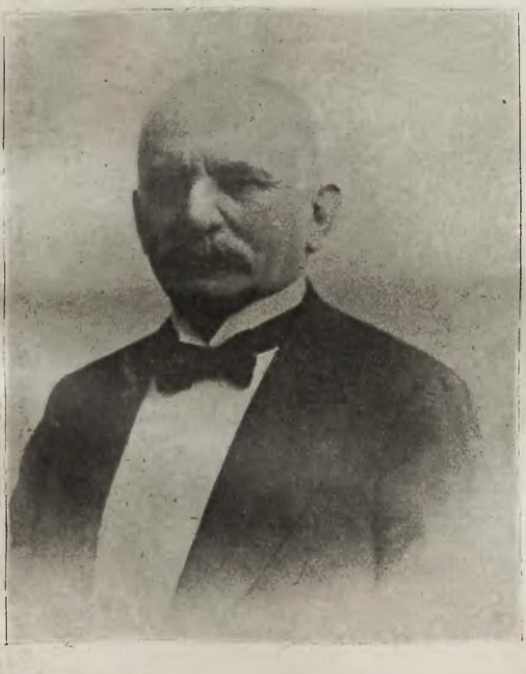
— Nie grałam już tak dawno, cóż dopiero mówić o śpiewie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy prezes kahału we Lwowie.

Rada wyznaniowa izraelicka we Lwowie dokonała w ubiegłym tygodniu wyboru swego prezesa, na osierocone przez zgon bł. p. posła dr. Byka miejsce Został nim dotychczasowy wiceprezes, adw. dr. Szymon Schaff.

Nowowybrany prezez kahału jest człowiekiem starszym, liczącym 67 lat. Studya akademickie ukończył na uniwersytecie we Lwowie, tam też



Fot. M. Münz, Lwów.
Nowy prezes kahału we Lwowie: Dr. Szymon Schaff.

odbył praktykę adwokacką, a od 1870 r. prowadził własną kancelaryę. Powołany przez współwyznawców do rady wyznaniowej, zasiada w niej bez przerwy blizko 30 lat.

Dr Schaff cieszy się wśród żydów we Lwowie zasłużoną popularnością, głównie z powodu swej wielkiej dobroczynności. W działalności swej na stanowisku członka, a następnie wiceprezesa rady wyznaniowej, odznaczył się opieką nad zakładem sierót izraelickich. Rozszerzenie i odnowienie gmachu tego zakładu, to zasługa w pierwszym rzędzie dr. Szymona Schaffa.

Losem sierót zajmuje się on i po opuszczeniu przez nie zakładu, umieszczając wychowanków i wychowanice u rękodzielników, lub pomagając im swymi własnymi funduszami do dalszego kształcenia się. Bardzo piękną zaletą charakteru nowego prezesa kahału jest też jego skromnosć i prostota. Za popularnością nigdy nie gonił, a zaszczytny wybór, który go obecnie spotkał, jest wyrazem uznania jego dużych zasług około żydostwa.

Obok pomieszczamy portret dr. Szymona Schaffa.



Tragiczne zajście: Napad opryszków wiejskich w Wierzchosławicach na podróżnego p. Stanisława Graybnera, przedsiębiorcę z Warszawy, który w obronie własnej strzałami z browninga zabił dwóch chłopów.

Echa wyborów.

(Do illustracyi na str. 4)

W ostatniej chwili przed zamknięciem numeru poprzedniego zdążyliśmy jeszcze zanotować wynik wyboru uzupełniającego z miasta Krakowa do Sejmu krajowego i zamieścić portret nowego posła dra Staniszewskiego. Wiadomo tedy naszym Czytelnikom, że dyrektor Kasy Oszczędności zwyciężył dyrektora szkoły realnej, otrzymawszy o 600 głosów więcej, aniżeli dr Petelenz. Lista wyborców wykazywała ogółem 8 723 nazwiska. Z tej liczby głosowało na obu kandydatów razem 4 206 wyborców czyli 48.2%; na zwycięzcę padło 2 399 głosów czyli 27.5% uprawnionych do głosowania.

A zatem w wyborze środowym zwyciężył właściwie system wyborczy, opierający się na jawności głosowania. Nie rozstrzygając kwestyi, kto z obu kandydatów miał większość opinii za sobą, trzeba ubolewać nad systemem, który sprawia, że więcej niż połowa wyborców zostaje w domu Byliby poszli do urny, gdyby nie to, że głosowanie do Sejmu odbywa się ustnie, jawnie... Nie pomogła tedy agitacya usilna: większość obywateli do głosowa-



Po bombie na kanale Katarzyny w Petersburgu: Chwila ograbienia kasyerów komory celnej; uczestnicy zamachu wydają z landa worki z kruciowemi sumami w ręce wspólniczki.

nia w tym wyborze uprawniona, nie wzięła w nim udziału. To też nadzwyczajnego ruchu nie było przed magistratem krakowskim w godzinach oddawania głosów, mimo, że liczni agitatorzy wyczekiwali na wyborców, by ich kaptować na rzecz swego kandydata. Najsilniejsza walka toczyła się za pośrednictwem druku, to też mury krakowskie były gęsto zalepione afiszami, z których jedne zalecały demokratę-pedagoga, drugie konserwatystę-potentata finansowego w mieście. Parę naszych fotografij, których w poprzednim numerze nie mogliśmy już zamieścić obok portretu posła, przedstawia właśnie kilka scen z ruchu wyborczego przed gmachem magistratu.



Fot. M. Münz, Lwów.
Niezwykły wybryk natury: Badane w lwowskiej akademii weterynaryi, zrośniętę cielęta bliźniacze.

Po bombie na kanale Katarzyny.

Echa wielkiej sensacyi, jaką dla Petersburga stało się niesłychanie śmiałe ograbienie kasyerów komory celnej, tłuką się jeszcze po pismach. Znajdujemy w nich ostateczne obliczenia urzędowe, według których grabieżcy zabrali w czasie napadu na kanale Katarzyny 363.013 rb. w asygnatach, 3 900 rb. w złocie, 29 rb. w srebrze, i 1 rb. 74 kop. drobnemi. Pozostało 214.350 rb. w listach zastawnych, 45 000 w kwitach przekazowych, 32.726 rb. 50 kop. w seryach i 1498 rb. 12 kop. w kuponach. Okazało się tedy, że zrabowano znacznie mniej, niźli sobie zrazu wyobrażano. Ustalono dalej fakt, że podczas wymiany strzałów raniono 3 żandarmów, 5 koni, 3 sprawców zabito, a 4 ujęto. Na miejscu wybuchu znaleziono jeszcze dwie bomby, które nie wybuchły. Okazuje się, że policya miała pewne poszlaki ogólne co do przygotowanego zamachu, nie wiedziała jednak, gdzie i kiedy to nastąpi. W tym celu wznowiła nadzór nad wszystkimi bankami i instytucyami rządowemi, zapominając widocznie o należytem zabezpieczeniu pieniędzy przewożonych. Dokładny opis samego faktu podaliśmy już poprzednio wraz z ryciną, przedstawiającą główny moment zamachu. Dziś zamieszczamy jeszcze ilustracyę chwili rabunku.

Morderstwo na Woli.

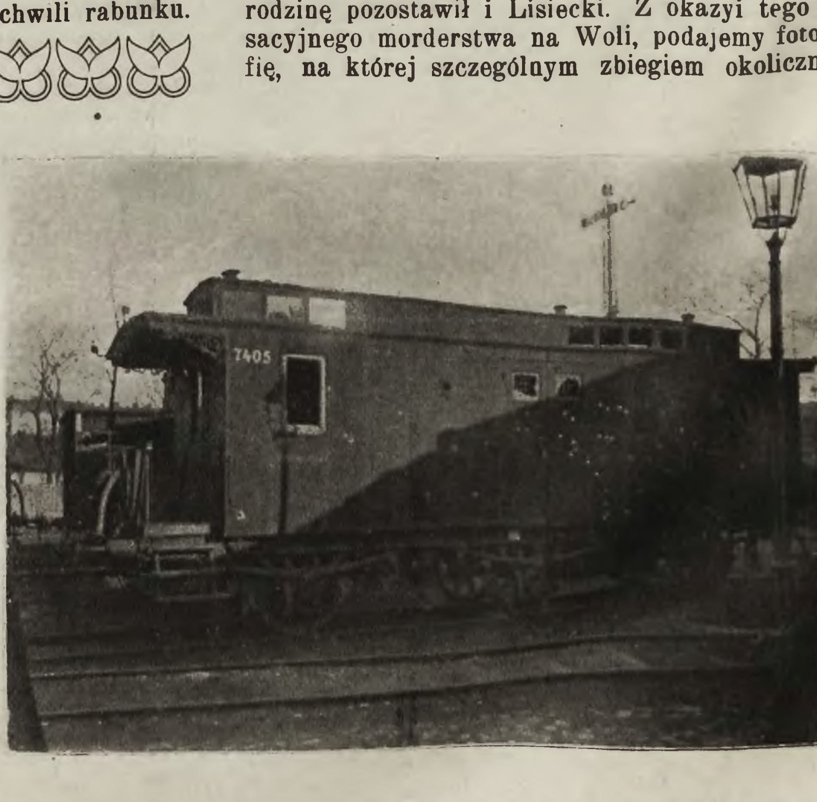
Około 11 tej wieczorem wracali w Warszawie przed kilku dniami z miasta do mieszkań swych przy zakładach gazowych na przedmieściu Czyste, dyrektor tych zakładów, inżynier Adolf Welke, oraz dyrektorowie fabryki chemicznej przy tych zakładach, dr Decke i inż. Lange. Jechali jednym powozem, a na koźle siedział stangret z zakładów gazowych Lisiecki. Gdy powóz skręcał z ul. Skierniewickiej od Wolskiej na Dworską, gdzie mieści się zakład gazowy, przyskoczyło nagle kilkunastu nieznanych ludzi, którzy zasypali 40 strzałami z browningów powóz i jadących. Dwie kule zabiły na miejscu dyrektora Welkego i woźnicę Lisieckiego. Z pod gradu kul bez szwanku wyszli dr. Decke i inż. Lange. Gdy strzelający dostrzegli padającego trupem Welkego, zaprzestali strzałów i umknęli. Pościg policyjny na nic się nie zdał. Lekarz pogotowia stwierdził tylko śmierć obu ofiar jakiejś dzikiej zemsty, której powodu nie domyślają się nawet pracownicy zakładów gazowych. Śp. Welke pracował w tych zakładach przeszło 25 lat, a osierocił żonę i 5 nieletnich dzieci. Niemniej liczną rodzinę pozostawił i Lisiecki. Z okazyi tego sensacyjnego morderstwa na Woli, podajemy fotografię, na której szczególnym zbiegiem okoliczności,



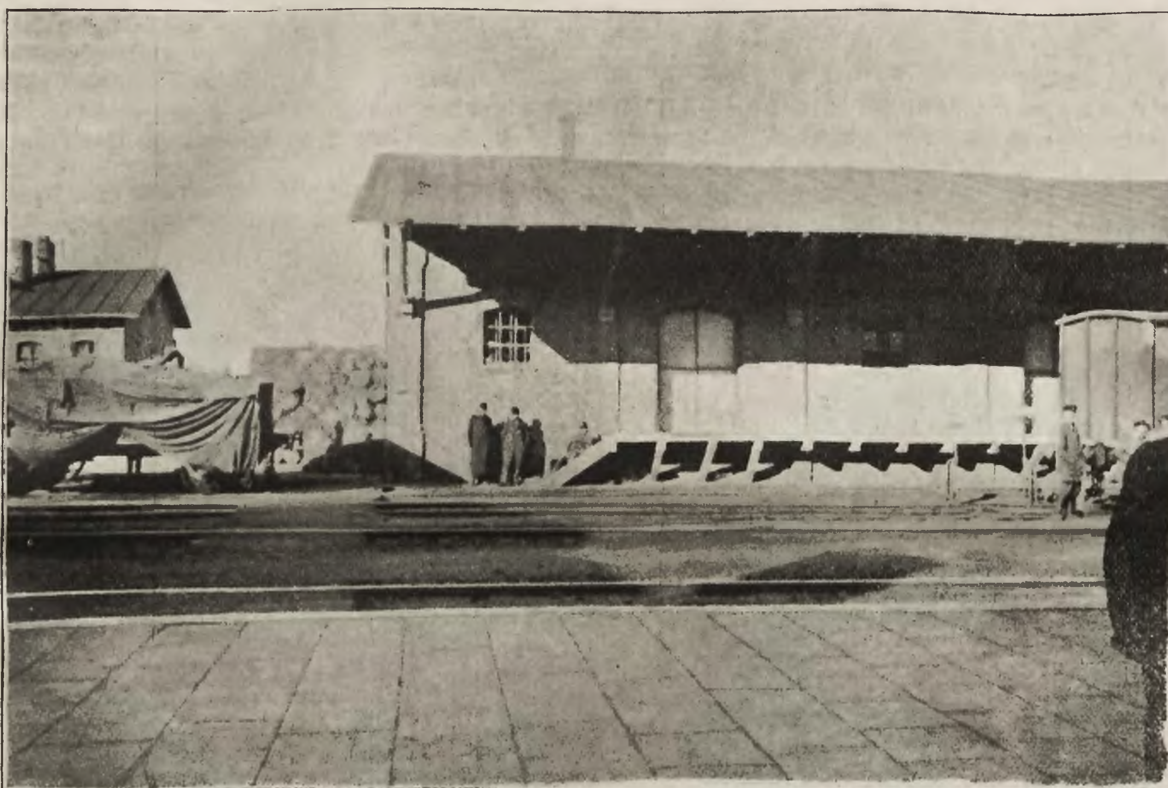
Morderstwo na Woli: Tajemnicze zamordowanie dyrektora zakładów gazowych w Warszawie, śp. inżyniera Adolfa Welkego: 1. dyr. fabryki chemicznej dr. Decke, 2. p. Binzer, 3. śp. Welke, (zastrzelony), 4. inż. Lange. wicedyrektor fabryki chemicznej. (Oprócz p. Binzera, wszyscy trzej jechali jednym powozem podczas napadu na Woli).



Fot. umyślnie dla „Now. Illustr“. St. Marynowski z Warszawy.
Zamach na pociąg pocztowy w Rogowie: Widok fasady dworca kolejowego Dr. Żel. W. W. w Rogowie po katastrofie; wszystkie szyby w drzwiach i oknach wytłuczone strzałami napastników. (Do artykułu na str. 2).



Fot. dla „Now. Illustr.“. St. Marynowski z Warszawy.
Zamach na pociąg pocztowy w Rogowie: Podziurawiony kulami napastników, wóz pocztowy, z którego porwano około 70.000 rb.



Fot. umyślnie dla „Now. Ill.“ St. Marynowski z Warszawy.
Zamach na pociąg pocztowy w Rogowie: Miejsce, w którem rzucono bombę pod pociąg: na widocznym tu dachu t. zw. „pakamery“ znaleziono karabin i mnóstwo desek, rzuconych tam siłą wybuchu.

znajdują się razem wszyscy trzej dyrektorowie — jak właśnie razem jechali powozem w krytycznej chwili. Jest to zdjęcie amatorskie pani X. dokonane bieżącego lata, a więc niedawno przed katastrofą.

Niezwykły wybryk przyrody.

Na akademii weterynaryi we Lwowie znajduje się od kilku dni ogromnie interesujący i to nietylko ze stanowiska naukowego — okaz, a mianowicie dwoje cieląt, których głowy, szyje i część klatki piersiowej zrosły się w jedną całość. Przywieziono ten niezwykły okaz z Gródka, gdzie w rzeźni gminnej znaleziono go, jako niedonoszony płód, we wnętrznościach zabitej krowy. Niezwykły ten, choć nie jedyny, wybryk natury, wytłómaczyć można w ten sposób, iż owa zabita krowa miała „powić“ bliźniacze cielęta. W czasie rozwoju jednak oba płody częściowo się zrosły.

Jak widać na zamieszczonej dziś rycinie, głowy cieląt zrosły się w jedną dużą i nieforemną całość. Jedna para oczu rozwinięta normalnie, druga zmarniała; uszy widoczne wszystkie. Zrosły się także szyje obu cieląt, oraz górna część klatki piersiowej. Dopiero dalsza część tułowia rozwinięta jest u obu cieląt normalnie, i widać tam dwa korpusy, cztery pary nóżek i dwa ogony.

Przewroty w polityce światowej.

Od kilku dni utrzymuje się uparcie wieść, że książe Bülow ustępuje z urzędu kanclerza Niemiec. Dymisya jego ma być już postanowioną, a urzędowe ogłoszenie ma pojawić się lada chwila, bo — jak powiadają wtajemniczeni — cesarz Wilhelm już pojechał na samochodzie do Liebenberga, do państwa Eulenburg, u których ze szklanką „sektu“ w ręce, przywykł dokonywać najważniejszych aktów swego panowania. Stanowisko Bülowa zachwiało się już podczas konferencyi w Algesiras. Klęska dyplomatyczna, jaką na tej międzynarodowej konferencyi poniosła polityka Wilhelma, rozdrażniła władcę Niemiec tem więcej, iż angażował się osobiście w niefortunnej kwestyi marokańskiej i sprowokowawszy groźbą wojny dymisyę Delcassego, pewny był już dalszych ustępstw Francyi i tryumfów niemieckich. Kompromitacyę swoję przypisywał Wilhelm nieudolności i nieśmiałości Bülowa, któremu brał za złe, iż nie umiał sobie zdobyć poparcia Rosyi i dopuścił do śmiałego wystąpienia Włoch w obronie Francyi. Od konferencyi w Algesiras Bülow przestał faktycznie kierować polityką zagraniczną państwa. Głośne było



Fot. umyślnie dla „Now. Ill“ St. Marynowski z Warszawy.
Zamach na pociąg pocztowy w Rogowie: Widok po po katastrofie wagonu żołnierskiego od strony, skąd nań rzucono bombę; pośrodku siłą wybuchu wyrwany kawał ramy wagonowej $^1/_4$ łokcia szeroki i $1^1/_2$ długi.

zajście w Izbie, gdy podczas piorunującej mowy Bebla, kanclerz zemdlał i wyniesiono go z sali. Już wtedy mówiono, że Bülow zdrów jak ryba i zemdlenie było polityczną komedyą. Zaraz urlop otrzymał, a skończyły mu się te wakacye teraz dopiero. Przez ten czas cesarz zajął się sam polityką zagraniczną, używając do pomocy tylko sekretarza stanu, którym jest znany naszym Czytelnikom z fotografii von Tschirschky. Na zewnątrz dało się zauważyć raptowne zbliżenie się Niemiec do Rosyi pomimo nawet afrontu, jakiego ze strony dyplomacyi rosyjskiej doznała polityka Wilhelma w kwestyi marokańskiej. Zmiana w urzędzie rosyjskiego ministra spraw zagranicznych była dostateczną dla Wilhelma satysfakcyą za doznaną zniewagę i pan Izwolskij od chwili objęcia władzy posterował natychmiast na wody niemieckiej przyjaźni i żegluje na nich coraz zawzięciej. Jednocześnie przeobrażenie wewnętrzne we Francyi ułatwiło zbliżenie rosyjsko niemieckie: dojście do steru gabinetu radykalno-socyalistycznego w Paryżu rozluźni węzły łączące Francyę z reakcyjną Rosyą. Stephen Pichon, jako nowy minister spraw zagranicznych w gabinecie Clemenceau, jest gorącym zwolennikiem ścisłego sojuszu franko-włosko-angielskiego. Cesarz Wilhelm chce więc odpowiedzieć na trójprzymierze mocarstw zachodnich — wskrzeszeniem związku trójcesarskiego i powoła-



Fot. umyślnie dla „Now. Illustr.“ St. Marynowski z Warszawy.
Zamach na pociąg pocztowy w Rogowie: Widziany od strony dworca wagon żołnierski po katastrofie; po prawej „brankard“ przestrzelony.

niem do życia nowego „świętego przymierza“ Rosyi, Niemiec i Austryi. Właśnie teraz upływa termin odnowienia bismarckowskiego trójprzymierza. Pisano, że je już pocichu odnowili Bülow, Gołuchowski i Giolitti. Ale Gołuchowski nie jest już dziś ministrem, za kilka dni Bülow nie będzie kanclerzem, a pono lada dzień ustąpi i Giolitti. Jest



Przewroty w polityce światowej: Książe von Bülow, dotychczasowy kanclerz Rzeszy niemieckiej, którego ustąpienie jest już prawie pewne.

to więc raczej symptom, że trójprzymierze środkowo-europejskie kończy swe istnienie razem z karyerą polityczną tych trzech mężów stanu. Dzięki pamiętnikom Hohenlohego (o których pisaliśmy świeżo na tem miejscu), można się domyśleć, jakie zachodzą intrygi, w celu doprowadzenia do upadku Bülowa. Nad tem pracują niezmordowanie jego przeciwnicy a pomagają okoliczności takie zwłaszcza, jak skandal Tippelskirchów. Wiadomo, że generał Podbielski, pruski minister rolnictwa, był oskarżony o posiadanie znacznego udziału w finansowych interesach tej firmy rządowych dostawców. Śledztwo wykazało, że choć Podbielski rozłączył się z firmą, gdy został ministrem, wszystkie swe udziały przekazał żonie. Po tem odkryciu opinia zażądała odprawienia ministra. Sam Bülow dał mu do zrozumienia, że powinien podać się do dymisyi. Zatarg toczy się więc między kanclerzem a Podbielskim już od paru miesięcy, a cesarz nie przemówił dotąd ani słowa za swoim kanclerzem. Teraz intrygi dworskie dążą do obalenia obu. Jeszcze niema urzędowych doniesień o dymisyi jednego lub drugiego, zdecydowane jest już jednak, kto zostanie następcą Bismarcka, Capriviego, Hohenlohego i Bülowa. Jakkolwiek z pośród sylwetek „świeżych ludzi“, występujących na widownię, jak lord Grey w Londynie, Izwolskij w Petersburgu, baron Aerenthal w Wiedniu, Pichon w Paryżu — nazwiska te dziś mówią jeszcze mało, lecz najbliższa przyszłość może już postawić tych ludzi wobec największych wstrząśnień, jakie znają dzieje świata; to jednak ogromną wymowę ma nazwisko, które do grona tych sterników nawy świata wprowadzić zamierza ces. Wilhelm. Następcą Bülowa na urzędzie kanclerza zostanie generał Helmuth von Moltke, od 10 miesięcy szef niem. sztabu generalnego. „Moltke“ znaczy w świecie od lat 36 tyle co „pięść przemocy wojennej“. Przyszły kanclerz (którego portret dziś dajemy obok fotografij Bülowa i Podbielskiego) uchodzi za zdecydowanego reakcyonistę o temperamencie umiarkowanym przez żołnierską otwartość i ochotę do korzystania z życia. Nie jest bynajmniej człowiekiem teoryi, raczej skłonny jest iść na ślepo; ma także „odwagę zimnej krwi“, aby „prowadzić politykę za pomocą tnącej szabli i strzelającego karabinu“... Jest jednem słowem, mężem stanu, jakiego właśnie potrzeba Wilhelmowi do jego planów ogarniających lądy stałe i oceany.



Przewroty w polityce światowej: Generał Helmuth von Moltke, szef niemieckiego sztabu generalnego, a domniemany następca Bülowa na urzędzie kanclerza Rzeszy.

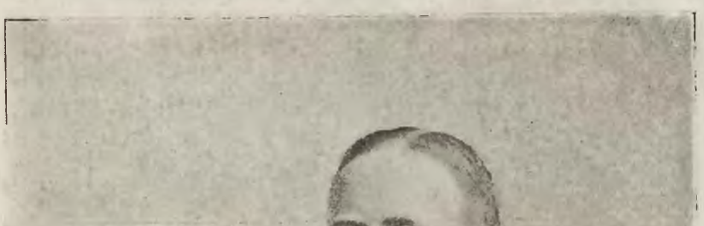
* * *

W ostatniej chwili nadeszła wiadomość urzędowa, że dymisya Podbielskiego stała się faktem dokonanym. Natomiast co do Bülowa i ewentualnie Moltkego brak jeszcze doniesień oficyalnych.

Skandal w cesarskim domu.

Berliński dziennik urzędowy doniósł, że major i komendant batalionu gwardyi, książę Joachim Albrecht pruski, syn zmarłego niedawno regenta Brunszwiku, księcia Albrechta pruskiego, został wyłączony z armii pruskiej, a przydzielony do wojsk niemieckich w poł. zach. Afryce. Banicya ta członka cesarskiej rodziny Hohenzollernów, stanowi epilog niezwykłej komedyi, której głównymi aktorami byli: wspomniany ks. Joachim, jego niedawno zaślubiona małżonka 1° voto baronowa Liebenberg, do niedawna jeszcze panna Marya Anna Sulzer, artystka jednego z teatrów berlińskich, oraz jej „tymczasowy“ mąż, baron Józef Liebenberg, podrzędny urzędnik w wiedeńskim magistracie, od dłuższego czasu znajdujący się w złych stosunkach majątkowych. Za cenę 30 000 marek zobowiązał się ów bar. Liebenberg do czynnego współudziału w komedyi, zaaranżowanej w pomysłowy sposób: Liebenberg weźmie w Londynie ślub z pewną panią, natychmiast potem da się złapać na niewiarze małżeńskiej i przedsięweźmie proces rozwodowy, w którym cała wina rozwodu w ten sposób na niego spadnie. Pierwszą ratę honoraryum 15 000 marek otrzyma po ślubie, drugą po rozwodzie. Liebenberg zgodził się na wszystko, nie znając ani nazwiska, ani pochodzenia swej przyszłej „żony“.

Ślub odbył się przed urzędem cywilnym dnia 11 maja i dopiero tuż przed ślubem Liebenberg dowiedział się, że jego przyszła żona nazywa się Marya Anna Sulzer. Do czekającego przed bramą urzędu cywilnego zbliżyła się wysoka, szczupła ale bardzo ładna blondynka i podziękowała mu za to, że zgodził się oddać jej wielką przysługę. Po ślubie świeża baronowa zabrała ze sobą metrykę ślubną i oddaliła się z jakimś obcym panem, który przedstawił się jako jej sekretarz i na kontrakcie ślubnym podpisał się jako Mayer. Oboje dojechali do Niemiec, a Liebenberg napróżno czekał na pierwszą ratę swego honoraryum. Wreszcie, kiedy począł grozić skandalem i oddał sprawę adwokatowi, dano mu 1.000 marek, a obiecano resztę 14 000 dać w Berlinie. Następnie wezwano Liebenberga do Frankfurtu, skąd z zamówionym świadkiem udał się do Moguncyi, gdzie Liebenberg dał się złapać na niewierze małżeńskiej, a następnie wdrożono kroki



Przewroty w polityce światowej: Pruski minister rolnictwa, generał Podbielski, osławiony w skandalu Tippelskirchów, którego ciągle oczekiwana dymisya, stała się nareszcie faktem.



Skandal w cesarskim domu: Ks. Joachim Albrecht pruski, przez swe małżeństwo z aktorką, w skandaliczny sposób przeprowadzone, zesłany do wojsk afrykańskich

rozwodowe, przyczem Liebenberg wziął całą winę na siebie. Po tych wszystkich przeprawach bar. Liebenberg udał się do kąpiel i następnie powrócił do Wiednia a nie mogąc się doczekać przyrzeczonych pieniędzy, oddał sprawę jednemu z adwokatów wiedeńskich.

Tymczasem rozeszła się wiadomość, że książę Joachim Albrecht pruski żeni się z byłą aktorką z podrzędnego teatrzyku, Maryą Sulzer, i że cesarz Wilhelm zaniechał swojego dotychczasowego veto przeciw temu małżeństwu. Widocznie tytuł baronowej, jaki sobie zdobyła narzeczona książęca, dzięki Liebenbergowi, rozbroił serce zwierzchnika rodziny Hohenzollernów. Tymczasem interesowanym, którzy wyzyskali łatwowierność Liebenberga, widocznie żal się zrobiło 30 000 marek, że przeliczyli się i pospieszyli zanadto. Bo przedewszystkiem wbrew komunikatom urzędowym, że baronowa Sulzer-Liebenberg uzyskała rozwód, proces rozwodowy nie ukończył się jeszcze, a powtóre Liebenberg nie był znowu tak bezbronny, jakby się zdawało. Posiadał broń bardzo dotkliwą: skandal! I ten skandal wybuchł.

Mąż-tyran, kupiony za miliony.

Córy miliarderów amerykańskich wychodzą chętnie za europejskich arystokratów, którzy prócz złoconych herbów — nie posiadają już ani odrobiny złota, a zamiast majątku w papierach, mają obok dokumentów rodowych, jedynie pliki weksli. W ten sposób właśnie kupiła sobie męża za milionowy posag panna Gould, córka słynnego w świecie miliardera nowojorskiego, która przed kilku laty poślubiła francuskiego hrabiego, nazwiskiem Boni-Castellane. Arystokrata ten zabawiał się trochę polityką, należał nawet do niedawna do paryskiej Izby deputowanych, ale przeważnie bawił się automobilami i wyścigami konnymi, grywał grubo w karty, a przedewszystkiem używał posagu żony na... kobietki. Już parę razy musiał teść miliarder regulować długi kochanego zięcia, ale hrabia nie myślał mimo to o poprawie, żył dalej jednako wesoło. Wreszcie sprzykrzyło się jego żonie pożycie z utracyuszem i wniosła podanie o rozwód. Proces przed sądem paryskim odsłonił rzeczy skandaliczne. Na podstawie informacyi swej klijentki adwokat hrabiny opowiedział, że hrabia zaraz po upływie miodowych miesięcy wypoliczkował małżonkę, aż wreszcie tak ją ciągle tyranizował, że hrabina na ślepo podpisywała wszystkie dokumenty, przez męża jej przedstawione do podpisu. Doszło do tego, że córka miliardera z posagu swego wynoszącego



Wzór obywatela patryoty: Zmarły 11 bm. w 77 r. życia na zamku swym w Mielnicy, marszałek borszczowski, śp. Mieczysław hr. Dunin Borkowski, poseł sejmowy i członek Izby panów, znany w kraju jako znakomity gospodarz.

kilkanaście milionów, otrzymywała już zaledwie 400 franków miesięcznie, podczas gdy mąż miał aż pięć pomieszkań w Paryżu dla przyjmowania wesołych dam z półświatka. Nikt się więc nie dziwił, że hrabina postanowiła rozwieść się ze swym mężem.



Mąż-tyran kupiony za miliony: Ożeniony z córką miliardera Goulda, hrabia Boni-Castellane, którego sensacyjna sprawa rozwodowa w Paryżu zdyskretowała publicznie.



Mąż-tyran kupiony za miliony: Rozwodząca się z mężem hrabina z Gouldów Boni-Castellane, której mąż hulaka mimo milionowego posagu wydzielał po 400 franków miesięcznie.

Wzór obywatela-patryoty.

Żałobnem echem odbiła się w całym kraju wiadomość o zgonie Mieczysława hr. Dunin Borkowskiego, właściciela dóbr Mielnica itd., w powiecie borszczowskim, członka Izby panów, posła sejmowego, marszałka Rady powiatowej w Borszczowie, męża o charakterze jak kryształ czystym i silnym, patryoty szczerego, znakomitego gospodarza. Nieboszczyk był stawiany za wzór patryoty, obywatela, gospodarza W sejmie zasiadał od lat 25, a swego czasu również w parlamencie wiedeńskim, był niestrudzonym orędownikiem spraw krajowych; ale zawsze największą wagę przykładał do powierzonego swej pieczy powiatu borszczowskiego, którym rządził iście po ojcowsku W sprawach narodowych był zawsze gotów do ofiar nietylko materyalnych. W r. 1863 śp. Mieczysław hr. Dunin Borkowski brał w przygotowaniach do walki czynny udział, mając sobie powierzone przez rząd narodowy przeprowadzenie organizacyi powstańczej na Podolu. Gorąca miłość Ojczyzny pozostała zawsze jedną z najpiękniejszych zalet charakteru zacnego tego męża, gorąca miłość i nieugięta.

Do ostatnich dni cieszył się dzięki regularnemu i prostemu życiu, jak najlepszem zdrowiem. Niedawno jeszcze widzieć było można we Lwowie, tę postać o szlachetnych, typowo polskich, łagodnych rysach, tę postać nad wyraz sympatyczną, osiwiałą ze starości, a jednak rzeźwą i krzepką. Śmierć przyszła prawie nagle, tem większą budząc boleść. Cześć jego pamięci!

Zgon śp. Mieczysława, okrył żałobą jego małżonkę Maryę z hr. Wodzickich, córkę znakomitego pisarza i ornitologa, Kazimierza Wodzickiego i pięcioro dzieci: dwóch synów i trzy córki.

Z lwowskiego bruku.

(Honorowe wyjście Fuka. — Co było, a co jest? — Rewizye bez zapowiedzi. — Utopiona w klozecie. — Żale p. Hermanna przed redaktorem. — Artykuł i wyjaśnienie. — Dochodzenia Towarzystwa dziennikarzy. — Zagadkowe milczenie. — Dorożki automobilowe a dryndy gumowe. — Występy pani Bohuss).

A więc cała awantura z Fukiem skończyła się na niczem a Fuk wyszedł z niej honorowo, jak na Fuka przystało. Najciekawszem jest, że tak, jak się na początku wszystko ładnie składało, teraz rozłazi się i koniec nie chce się zejść z końcem. Już go mieli, już były poszlaki, już kasyer bankowy poznał sprawcę, z którym go skonfrontowano, już odkryto wspólników, już znaleziono pieniądze, już był motyw — i było wszystko jasne, gładkie i proste jak drąg. Spierano się tylko o to, kto ma dostać nagrodę przyrzeczoną przez Bank krajowy, chociaż nie ulegało wątpliwości, że należała się ona szlachetnemu donosicielowi z armii fukowców, owemu zdrajcy sprawy narodowej. Tymczasem pokazuje się, że niema sprawcy, niema pieniędzy, kasyer nie poznał złodzieja, a tylko jego dłoń wydawała mu się znajomą, bo była duża i czerwona, niema wspólników, a tylko jest — nowa kompromitacya. Wyobrażam sobie, ile naśmiał się podczas tej całej hecy faktyczny złodziej, który zapewne już teraz gotów jest ze zdobytą gotówką. Gdyby policya wiedziała, jakie on ma o niej wyobrażenie, o niej i o jej sprycie, to wszyscy jej członkowie wystąpiliby ze służby jeszcze przed nowym rokiem.

Jeszcze smutniej zakończyły się rewizye policyi tutejszej, dokonane u kilku osób podejrzanych o utrzymywanie składu browningów dla rosyjskiej rewolucyi. Nie znaleziono naturalnie nic, ale lwowska Rada miejska narobiła wiele hałasu o to, że policya na własną rękę przeprowadza rewizye, nie zawiadamiając o tem prezydenta miasta, jako starosty miasta Lwowa. Jest to conajmniej dziwna pretensya, aby policya naprzód zawiadamiała o mającej się odbyć rewizyi wójta i całą gromadę. Doświadczenia bowiem uczą, że ile razy zawiadamia się kogoś naprzód o przyszłej rewizyi, nazajutrz prawie z reguły nie znajduje się u niego nic podejrzanego. A tu chodziło o broń i kompromitujące papiery, których niestety nie znaleziono, pomi-

mo, że rewizya nie była zapowiedziana u prezydenta.

To i poprzednie niepowodzenie lwowskiej policyi wywołało jeszcze żywsze współczucie, aniżeli niepowodzenie deputacyi rzeźników u ministra rolnictwa hr. Auersperga, lub smutny fakt utopienia się jakiejś obywatelki z prowincyi w lwowskim klozecie starego systemu.

Ta pani, która weszła w najlepszym zamiarze i nie przeczuwała nawet, że stamtąd ją będzie musiała wydobywać straż pożarna, dała sobie słowo honoru, że nigdy w życiu nie przyjedzie już do Lwowa, który w całej Galicyi niema sobie równej dziury, pomimo, że ma już automobilowe dorożki.

Ale o tych dorożkach pomówię na końcu, gdy mi wystarczy miejsca — teraz o innej aferze chciałbym pomówić, o której milczą lwowskie dzienniki, pomimo, że one właśnie powinny się były odezwać.

Jeszcze w lipcu b. r. skarżył się przed jednym z redaktorów lwowskich właściciel Colosseum pan Hermann, że lwowscy dziennikarze karotują go w niemożliwy sposób, zabierając mu najlepsze miejsca bezpłatnie i darmo, bo nic mu za to nie robią. Ta reklama, jaką mu robią, jest niczem w porównaniu z tem, co oni mu codziennie rabują. Ale nie dość na tem, że biorą miejsca bezpłatne — łgał dalej Hermann — oni nawet jeszcze chcą na mnie pieniądze zarobić. I na dowód tego twierdzenia opowiedział okrągłą historyjkę, jak to pewien „dziennikarz“ wziął u niego bezpłatne trzy fotele a potem dwa z tych foteli wymienił u Plohna za pieniądze pod pozorem, że mu tylko jeden bilet potrzebny a za dwa żąda zwrotu pieniędzy. Tak więc ów „dziennikarz“ nie tylko był darmo w Colosseum, ale jeszcze nadto zjadł dobrą kolacyę za pieniądze p. Hermanna.

Redaktor, któremu to Hermann opowiedział, ogłosił natychmiast ową pieprzną historyę o piracie dziennikarzu, a p. Hermann czując, że trochę przeskrobał w swoich żalach, może w stanie niecałkiem trzeźwym, uczuł nagle całą grozę sytuacyi. Groziło mu bowiem, że go ze wszystkich dzienników wyrzucą na bruk razem z reklamowemi notatkami w formie „recenzyj“ z przedstawień Colosseum. Poleciał tedy do owego redaktora i błagał o zamieszczenie wyjaśnienia sprawy, którą tak fatalnie zaciemnił. Nie pomogło wyjaśnienie. Towarzystwo dziennikarzy dopiero w październiku wysłało deputacyę do Hermanna, aby bliżej objaśnił owe zajście z dziennikarzem, a p. Hermann wszystko odwołał, twierdząc, że to nawet nie był żaden dziennikarz, ale jakiś jego kuzyn.

Niema powodu nie wierzyć pierwszemu redaktorowi — raczej nie zasługuje na wiarę p. Hermann, pomimo, że tak dzielnie kieruje instytucyą „artystyczną“, ale mniejsza o to.

Dlaczego jednak Towarzystwo dziennikarzy dotychczas nie opublikowało rezultatu tych dochodzeń i utrzymuje nadal opinię całą w mniemaniu, że istotnie jakiś dziennikarz „naciągnął“ p. Hermanna, zwłaszcza, że p H nie przestaje się skarżyć na dziennikarzy? Dlaczego? Może, ażeby nie obrazić p. Hermanna? Chyba... A jest to przecież w interesie samych dziennikarzy...

Co do dorożek automobilowych, to muszę tylko wspomnieć; pomimo, iż już się pojawiły przed dwoma tygodniami, jeszcze dotąd nie przejechały ani jednego obywatela. Są zgrabne, lekkie, niedrogie, ale jest ich tak mało i tak są zawsze zajęte, że niektórzy z bólem serca muszą jeszcze jeździć na gumowych dryndach. Należy się jednak spodziewać, że gdy tych samochodów będzie więcej, gumowymi fiakrami jeszcze tylko urzędnicy kolejowi, dyurniści, nauczyciele ludowi i oficerowie przed pierwszym jeździć będą. W teatrze występuje gościnnie pani Irena Bohuss przed wyjazdem zagranicę i dzięki tym występom teatr jest stale wypełniony po brzegi. Panią Irenę publiczność wita jako swoją dawną ulubienicę kwiatami i oklaskami bez końca. O teatrze więcej w następnym liście

---

„Mateczka“

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

31 (Ciąg dalszy).

— Nic wam, ojcze, nie odpowie, bo on niemowa.

Pop wziął lampę z rąk służącej i świecąc nią w twarz obcemu, zaczął mu się bliżej przyglądać.

Lecz ten wywijał rękami, coś pokazywał, nawoływał tragicznemi gestami popa, by szedł za nim...

Ojciec Iwan nic zrozumieć nie mógł i tylko uważnie wpatrywał się w gestykulującego niemowę.

Ten był w jakichś łachmanach potarganych.

Twarz miał całą posmoloną, podobnie jak ręce i bose nogi.

— Czegoż ty chcesz — ze spokojem powtórzył pop tym razem i cierpliwie starał się odgadnąć treść jego ruchów dziwacznych.

Wtedy niemowa wskazał ręką okno i zaczął dawać znaki, by pop wyszedł na dziedziniec z lampą...

Teraz pojął go ojciec Iwan i już miał wyjść, gdy przybłęda upadł ciężko na podłogę, lecz jeszcze nie przestał gestami—jakgdyby coraz słabszymi — prosić proboszcza o wyjście na podwórze ze światłem.

Zostawiono go tedy na podłodze, a pop w towarzystwie służącej i ze światłem w ręku wyszedł z pokoju pełen zaciekawienia.

Felicya naciągnęła kołdrę na głowę po ich odejściu, lecz w tejże chwili coś szarpnęło gwałtownie, ściągając z niej okrycie...

Chciała krzyknąć, aliści ręka osmolona niemowy zatkała jej usta.

Wśród mroku w pokoju, widziała wyraźnie tę czarną postać w łachmanach nachylającą się ku niej, czuła oddech dyszący...

— Dziś wysyłam list do stryja Edwarda — szepnął nad nią znienacka mniemany niemowa — a napiszę mu wszystko, co tutaj zastałem.... Zamilcz wobec popa, kto tu był i po co...

— Felicyanie — krzyknęła truchlejąca z przestrachu kobieta, ale już go nie było.

* * *

Kiedy po dobrej chwili powrócił pop z dziedzińca — zdumiał się nie mało, nie zastawszy przybłędy na podłodze ani w całym zresztą domu...

Nabrał tedy przekonania, że musiał to być chyba jakiś waryat, a utwierdziła go w tem przeświadczeniu również i Felicya, to też rychło zapomnieli o całem zajściu.

Właściwie zapomniał o niem na prawdę pop Iwan i rychło z powrotem usnął z wielkiego znużenia.

Ona natomiast udawała tylko wobec niego, że zaraz wyszło jej z pamięci owe tajemnicze zajście obłąkanego niemowy.

W głębi rzeczy jednak scena zdemaskowania się bratanka pana Edwarda, wryła się tak w jej pamięć, że ani na chwilę nie przestawała o tem myśleć.

Była niewyspana, ale mimo to już po zniknięciu Felicyana zasnąć nie mogła i tylko niecierpliwie wyczekiwała, kiedy powróci do domu.

Istotnie też zaraz po pierwszem śniadaniu, pożegnawszy ojca Iwana, wyruszyła swym wózkiem z powrotem do siebie.

* * *

Jak bomba wpadła do pokoju pana Felicyana i rzuciła mu się na szyję....

Młody człowiek, co dopiero przebrawszy się po obmyciu i zrzuceniu łachmanów, przechadzał się szerokimi kroki pełen wzburzenia i namyślał się nad tem, co mu począć wypada.

Zrazu chciał wyjechać natychmiast z pałacu generalskiego, bez widzenia się z gospodynią. Pragnął uniknąć wysłuchania jej usprawiedliwiających perswazyj. Byłby najchętniej uciekł bez pożegnania, uprzedzając jeszcze jej powrót z sąsiedztwa....

Po namyśle wszakże pozostał i debatował tylko, coby napisać do stryja.

Sprawi mu tem przykrość niezmierną — myślał — ale nie sposób taić przed nim... Nie chciałby stryja zmartwić.... On tak w nią wierzy, nikomu nie da nic złego powiedzieć na „siostrę“.... Tym razem jednak uwierzy.... Tylko, że znów sam Felicyan narazi się tą denuncyacyą stryjowi w najwyższym stopniu... Ale jakże można zataić rzecz podobną....

Cóż tedy począć?

Pop prawosławny... W to doprawdy stryj gotów nie zechcieć uwierzyć...

Im dłużej myślał nad tem wszystkiem, tem mniej zaczynało go to obchodzić, jak stryj przyjmie taką wiadomość, a coraz bardziej sam doznawał upokorzenia, uczucie żalu niewysłowionego rozpierało serce młodzieńca....

On mimo wszystko kochał tę kobietę. Opętała go i na cokolwiek chłodniej spojrzawszy, przekonywał się, że przedmiot miłości jego młodzieńczej inaczej wygląda, aniżeli mu się wydaje w zaślepieniu nagłego kochania — to jednak mimo wszystko była mu Felicya tak drogą, iż niełatwo przyszłoby mu dziś rozłączyć się z nią, a zapomnieć o niej — nie sposób...

Czem go sobie zjednała, cóż jest w niej takiego, co zniewolić potrafi, sam nie pojmuje, dość, że czuje, iż ta kobieta pozbawiona niezwykłych wdzięków, ciągnie go ku sobie, pęta go przy sobie i on sam pożąda jej dziś wszystkiemi zmysły i kocha ją całą duszą — bez względu na to, co ona za jedna ...

Musi być w niej coś niepospolitego obok braku piękności niewieściej, skoro tak łatwo umie sobie niewolić mężczyzn....

. . . .

Nie napisał Felicyan listu do stryja, ani pałacu generalskiego nie opuścił.

Sił nie miał, żeby uciec od ukochanej kobiety.

I dlaczegóż zresztą miał ją porzucać, skoro przestał nią pogardzać. Przeciwnie, dziś stoi ona przed jego oczyma na wyższym piedestale, niż stała w dniu wczorajszym.

Bohaterkę w niej widzi.

Dla wielkiej sprawy ofiarowała się, poświęciła się....

Pod przysięgą wyznała mu to w tajemnicy i w sprawę wielką a sekretną wtajemniczyła go byle uwierzył, jak czyste są jej cele....

Odtąd zapanowała już zgoda między nimi.

Zaczęła się sielanka.

Para zakochanych spędzała wspólnie wszystek czas, tak sobą jedynie zajęta, że mogło się w około nich dziać — Bóg wie co — a oni o niczem nie wiedzieli, nic nie widzieli, nic nie słyszeli, krom siebie nawzajem....

On grał na gitarze, ona nuciła piosenki sentymentalne....

Podziwiali czary przyrody, wpatrując się z dziecięcą radością w łuk tęczy, to znów niby student z pensyonarką liczyli we dwoje gwiazdy na niebie, upajali się marzeniem przy blaskach księżyca, albo trzymając się za ręce, szli milcząco zapatrzeni, jak w obraz — w bajkowy zachód słońca...

Czas mijał szybko i przyjemnie. Dzień po dniu upływał na przejażdżkach i przechadzkach, to znów, gdy słota przeszkadzała, na wspólnem czytaniu bardzo erotycznych i bardzo sentymentalnych romansów.

Najchętniej spędzali godziny na czółnie, kołysząc się u brzegów Dniepru w pobliżu parku pałacowego.

. . . .

Zdarzało się wszakże, jakkolwiek rzadko, iż na cały wieczór opuszczała Felicyę wesołość codzienna, a wówczas snuła ona głośno wobec młodego przyjaciela wymarzone plany swoje o założeniu klasztoru, którego regułę podyktuje ona sama, klauzulę zgoła odmienną od dotychczasowych reguł zakonnych.

Z zachwytem wpatrywał się młodzieniec w jej blade oblicze, gdy z zapałem niezwykłym opowiadała mu o reformach, jakie musi przeprowadzić, przyczem surowo krytykowała wszelkie urządzenia kościelne.

W takich chwilach pan Felicyan przypominał sobie mimowoli, że niekiedy niemal dosłownie takie same sądy w tej mierze słyszał z ust stryja Edwarda, u którego dziwiły go one wielce ze względu, że ten uchodził przecież za gorliwego katolika...

Ilekroć Felicya prowadziła dysputy na temat podobny, a w chwilach takich sprawiała wrażenie szczerej ascetki — nie poznawał w niej młodociany przyjaciel tej na wskroś ziemskiej kobiety, która wymagała od niego tylko pieszczoty miłosnej i wyciągała ku niemu co trochę usta wydęte pragnieniem pocałunku...

Ale w takiej godzinie najczęściej Felicya przerywała nagle swoje wywody religijne i z twarzą wykrzywioną niespodzianym śmiechem, rzucała się na szyję zasłuchanego z powagą towarzysza, wołając:

— Użyjmy szczęścia ziemskiego póki pora... To ostatnie chwile uciech moich świeckiego życia... A potem na wieki habit mniszki... pokuta, skrucha.... a na ustach tylko słowo pobożne.... Więc póki czas jeszcze, użyjmy w całej pełni szczęścia grzesznego życia!

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

Mój zegarek.

(Humoreska).

W on czas włóczyłem się po mieście nic nie robiąc. Znałem przeto wszystkie nowiny miejskie, wiedziałem, co w każdej chałupie na obiad gotują, kto w kim się kocha, kto z kim romansuje i kto z kim będzie się żenić. Nie dziwota też, że znałem dobrze Jana Marczałę, jego sprawy i jego losy.

Miał się on wtedy żenić. Wpadła mu w oko panna Kasia Pierzchalanka. Piękna dziewucha Ja sam, bardzo często koło domu mieszczanina Pierzchały przechodząc, lubiałem spojrzeć w okna, bo może za doniczkami z geranium zobaczę piękną Kasię, może spotkam ją w ogrodzie wśród lilii, aby słowo z dziewczyną zamienić, aby... Gdy jednak zobaczyłem tam Jaśka Marczałę, zacząłem inną ulicą chodzić. Bo robotnik ten miał ogromne pięści i szerokie plecy. On miał szerokie plecy i niedźwiedzie łapy, ja zaś jestem dyetetykiem, żyję hygienicznie, a szanuję bardzo swoje zdrowie i jestem zdania, że szukanie czerepów czaszki po ulicy, nie należy wcale do zajęć zdrowotnych i hygienicznych.

To zresztą do rzeczy nie należy. Należy zaś do rzeczy, że między Jasiem i Kasią amory były gorące. Marczała starał się dziewusze przypodobać. Wśród tych starań zrobił on odkrycie, że nieładnie jest młodzieńcowi chodzić bez zegarka. Nie wiem czy fałszywe, czy też prawdziwe utworzyło się w nim mniemanie, że porządny rzemieślnik powinien mieć zegarek, powinien zarobić na zegarek, że zaś ten, co się stara o pannę, bezwarunkowo powinien mieć zegarek. Wiarę tę wyrobiła w Jaśku Marczale sarkastyczna piosenka, wyśmiewająca dzisiejszych kawalerów:

Pyta się panienka, która jest godzina... kawaler zaś, który ma zastawiony zegarek, lub, który wcale zegarka niema, odpowiada jej w piosence:

— Ach moja panienko, zepsuta sprężyna.

Zegarek był tedy marzeniem kawalera, spokoju nie miał, judziło go, podrywało go, aż poderwało. Wziąwszy w sobotę od majstra piętnaście koron tygodniowego zarobku, poszedł do zegarmistrza.

— Proszę o zegarek.

— Niklowy, srebrny czy złoty?

— Zobaczy się. Pokaż mi pan niklowe i srebrne.

Rozłożył przed Marczałą kupiec zegarki, aż się oczy do błyszczących, nowiutkich zegarków śmieją.

— Ile kosztuje ten nikiel?

— Szesnaście koron.

— A ten srebrny z łańcuszkiem?

— Czterdzieści koron.

Udawał Marczała, że się targuje, udawał zaś dlatego, żeby się ze sklepu z honorem wycofać. Nie wypada się kawalerowi przyznać, że brak pieniędzy... Zręcznie uciec trzeba. Obiecywał za nikiel dać sześć koron, za srebrny zaś dwadzieścia koron, wreszcie wpadło coś do głowy, zdobył się na szczerość i rzekł:

— Nie kupię, bo tyle pieniędzy nie mam.

Kupiec pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Ja od pana nie chcę pieniędzy.

— Jakto?

— Mój panie Marczała, ja pana znam. Pan jesteś morowy człowiek. Pan nie jesteś pijak, pan nie jesteś złodziej, pan nie jesteś łajdak. Pan się teraz żenisz, bardzo dobrze robisz, panna Pierzchalanka jest to pracowita i porządna panna.

— A więc cóż z tego? — rzekł zniecierpliwiony trochę Marczała.

— Pan ma u mnie kredyt.

— Niby?

— Radzę panu, weź pan ten srebrny zegarek z łańcuszkiem. Srebro rzetelne na kopercie napisane. „Cylindres 6 Rubis". Ile masz pan przy sobie pieniędzy?

— Piętnaście koron.

— Dawaj pan piętnaście koron, resztę pan spłacisz po weselu, ratami.

Zamyślił się Jasiek Marczała. Kupić czy nie kupić?

Przekomarzają się myśli w Marczale, biją się ze sobą, ochota ochrona zwyciężyła, ochota każe kupić zegarek. Wszak zegarek w domu potrzebny, on wskazuje, kiedy do warsztatu wyjść, z warsztatu przyjść. Rozum mówi, że potrzebny zegarek. A gdy to rozum powiedział, zaczęła się nowa walka: srebro czy nikiel? Przecieżby nikiel wystarczył, tę samą co i srebro służbę zrobi. Zwyciężyły argumenty, zwyciężył nikiel, ale przyszły nowe, które zwycięzce na łeb pobiły. Bo przecie to wydatek raz na całe życie; bo przecie jeśli niklowy zegarek się popsuje, to go tylko na ulicę wyrzucić, a srebro jest przecie srebrem i ma zawsze swoją wartość. Wichura myśli po głowie Marczały szaleje, zwyciężyła i szalę przeważyła myśl, jak to ładnie będzie przyjść do panny Kasi ze srebrnym zegarkiem...

(Dalszy ciąg nastąpi)

Z półek księgarskich.

Macierz Polska. Jako Nr. 86 Wydawnictw Macierzy Polskiej wyszła książeczka I. Fronia p. t. „Wyrób win owocowych, powideł i chleba owocowego". Autor poucza najpierw, jak się wyrabia jabłeczniak. Tu mówi o jakości owocu, miażdżeniu i prasowaniu, oznaczaniu ilości cukru i kwasu, o fermentacyi, gospodarstwie piwnicznem, napełnianiu beczek moszczem, ściąganiem wina i t d. Zastanawia się nad chorobami wina, podaje sposoby usunięcia wad. Następnie opisuje wyrób porzeczniaku, wina szampańskiego, agrestniaku, wina ostrężynowego, maliniaku, wina wiśniowego i czereśniowego. Podobnie też daje przepisy na wyrabianie powideł z gruszek, jabłek i śliw, a nakoniec na wyrób chleba owocowego. Książeczka przeznaczona jest przedewszystkiem dla gospodarzy zamożniejszych, którzy mogą poświęcić kilkadziesiąt koron na sprawienie potrzebnych maszyn i przyrządów. Jak się z młynkiem, prasą, aerometrem, kwasomierzem itd. obchodzić, o tem pouczają ryciny w liczbie piętnastu. Książeczka (65 stron druku) kosztuje 40 hal.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

Ułożył J. Brzeziński, Kraków.

Pierwszą wyszukać łatwo wam będzie,
Gdy rozpatrzycie się w liter rzędzie.
W drugiej i pierwszej każdy z nas chodzi,
Panie, panowie, starzy i młodzi
Do faz księżyca *trzecia* należy.
Całość miasteczko w Galicyi leży.

II.

Pierwsze, to dowódca w mowie ludzkiej dźwięku.
Drugie-drugie, sławna powieść - lecz nie w panny ręku.
Drugie, to przyimek — a zaimek *trzecie*,
Między rzekami wspak *trzecie* znajdziecie.
Dodać do tego wprost *drugą* — rozrywka to miła,
Całość, owoc — który strefa gorąca zrodziła.

Logogryf.

Ułożył J. C. J. J. Zakopane.

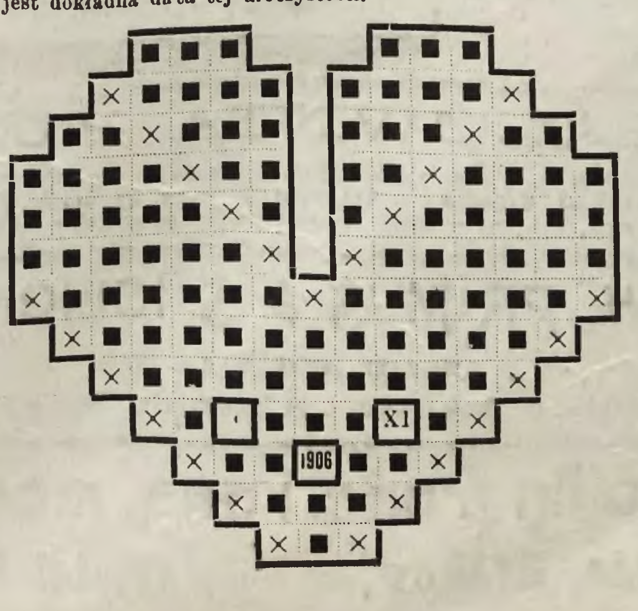
Ze zgłosek: al, an, bas, bes, bi, ce, cze, di, e, e, gen, i, ja, ka, ka, kan, ko, le, li, lis, lo, łęk, me, mi, na, na, ne, ni, nia, ra, rał, re, ryst, sa, skij, ta, tem, to, tyń, wa, wal, za, zaw — ułożyć 15 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, a końcowe, czytane z dołu do góry, utworzą imiona i nazwiska dwóch malarzy polskich.

Znaczenie wyrazów: 1. Partya pol. terorystów podczas rewolucyi francuskiej. 2. Naczynie, w którem się mieści większa ilość piwa. 3. Wyspa w Azyi. 4. Imię biblijne brata Jakubowego. 5. Krzew, mający bardzo ładne korale 6. Inaczej ciało nieorganiczne. 7. Materya jedwabna, turecka, złotem haftowana. 8. Miasto w północnych Włoszech, pamiętne wielkiem zwycięstwem Napoleona nad Austryakami w 1796 9. Dawna broń, używana do dobijania ciężko rannych. 10. Miasto nad Adryatykiem, stolica Dalmacyi. 11. Imię męskie 12. Kanton w Szwajcaryi. 13. Reklamowany dzisiaj bardzo środek leczniczy. 14 Ptak. 15. Były generał-gubernator warszawski.

Łamigłówka.

Ułożył A. Rotter, Stanisławów.

Kwadraciki i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki utworzyły określenie uroczystości, jaką wkrótce w Polsce obchodzić będziemy W trzech kwadratach podaną jest dokładna data tej uroczystości.



Znaczenie wyrazów: Rząd 1. Dwie rzeki w Galicyi. 2. Dwa imiona męskie. 3. Roślina lekarska — utwór dramatyczny Słowackiego. 4. Dwa imiona żeńskie. 5. Kraj w Ameryce — kraj w Azyi. 6. Imię męskie — autor pieśni „Z dymem pożarów". 7. Miasto handlowe w Rosyi — rzeka w Azyi, dopływ Oceanu Lodowatego — Góra w Azyi, na której Bóg nadał Mojżeszowi 10 przykazań. 8. Dwie rzeki w Afryce. 9. Rzeka w Kanadzie — miasto portowe w Rosyi przy ujściu Donu. 10. Rzeka w Ameryce południowej. 11. Roślina, z której się wyrabia olej. 12. Inaczej natychmiast. 13. Greckie określenie porannej zorzy.

Dla ułatwienia rozwiązania, podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, a, ab, be, bia, bo, bug, e, e, el, i, ir, je, jej, jó, ka, ka, kon, kuck, le, li, lia, ma, ma, na, naj, no, no, nu, o, o, os, pa, pak, ran, raz, ri, ro, ro, rol, ru, rze, ry, san, ski, stow, sy, sy, u, wia, za, za, zam, ze, ze, zef, zi, yu.

Arytmogryf.

Ułożył A. Rotter, Stanisławów.

1
1 2 9
3 9 3 5 13
22 24 13 4 23 19 7
10 9 14 6 5 13 1 8 9
9 15 9 16 9 6 5 13 4 8 9
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 9 11 12
17 1 6 18 9 8 1 3 19 17 4
10 9 13 13 9 2 20 8 9
10 9 14 10 9 3 9
2 14 9 3 9
1 11 21
12

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły tytuł najnowszego dramatu Przybyszewskiego, granego obecnie na scenie krakowskiej.

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Rodzaj poezyi. 3. Zamek królów polskich w Krakowie. 4. Imię męskie. 5. Miasto w Hiszpanii. 6. Dwa imiona żeńskie. 7. ? 8. Poeta polski. Tytuł wspaniałego dramatu Słowackiego. 10. Imię żeńskie. 11. Rzeka na Węgrzech. 12. Kostka u ryby. 13. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę książkę, pod tyt: „Kaj ten smrek siwy..." Władysławy Panek.

Rozwiązanie zagadek z Nru 44.

Szarady.

I. Topola. II. Osady.

Logogryf.

ede**n**, **L**ombardy**a**, **i d**, **z**ako**n**, **A**malf**i**, **o**drodzeni**e**, **R**ado**m**, **Z**eno**n**, **e**rynj**e**, **s**yllogiz**m**, **Z**abłock**i**, **k**upie**c**, **o**c**h**, **W**enecy**a**, **A**da**m**.

Eliza Orzeszkowa — Nad Niemem i Cham.

Kryptogryf.

z, p**a**n. fa**k**ir, zak**l**ęte, skrz**ę**tnie, **Zaklęte usta**, Kra**j**ewski, odl**u**dki, ka**s**za, I**t**o, **a**.

Zaklęte usta.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Zalewski, Kraków; S. Nowiccy, Lwów: St. Bokowski Jasionów; Fr Kalita, Gawłuszowice; W. Dziewiński Kraków; O. Górkowa, Chyrów; dr. St. Warmski. Turka; St. Kmień, Nowy Sącz; Jauczar, Zakopane; K. Żebrawska, Kraków; Z. Ehrenberg. Kraków; M. Arbesbauer, Lwów; H. Zielińska, Manajów; M. Cetena, Dubiecko; W. Hałdziński, Lichwin; F. Kupferberg, Drohobycz; K. Jurkiewicz, Tłumacz: A. Stepek. Andrychów; M. Studziński, Kraków; M. Świetlikowa, Rzeszów; „Wanda", Warszawa: B. Staniszewska. Dąbrowa górnicza; M. Waldeck, Ruda: A. Zawadzki, Kraków; K. Weinar, Przemyśl; Kuszpeciński, Kraków; Abonent „Nowości Illustr." Długoszyn; H. Gędłek, Tarnów; „Zgoda", Krosno; F. Niepokój, Krosno; E. Kawiński, Stara Sól; Czytelnia ludowa, Winniki; J. Haładej, Górki; A. Kopcińska, Bukowsk; L. Fijałkiewiczowie, Sądowa Wisznia; K Fuchs. Czeremchów; T. Mendys, Tarnobrzeg; Urząd pocztowy, Starzawa; K. Jasiński, Kraków; H. Leligdowicz, Fraga; M. Gerstmann, Dobrostany; T. Domain, Sanok; H. Mokrzycka, Drohobycz; M. Małaczyński Pikułowice; M. Mosóń. Iwonicz; W. Hferówna. Tyczyn; T. Krzyszkowski, Zakopane; H. Kuratnicka, Nadwórna; H. Pfeiffer Przemyśl; K. Jankowski, Warszawa; Cellerin z Bukowska; A. Surowiecki, Kraków; S. Spunda, Skała; F. Tarnowska, Warszawa; J. Misiewicz, Kostilówka; B. Ramułtowa, Jeżów; Biegoń, Sucha; Stanula, Samo ice; A. Fink. Komorniki; A. Ziwer, Mikuliñce; F. Kupferberg, Drohobycz; A. Bocsoń, Bóbrka; Stołownicy z ul Wiślnej, Kraków; S. Gajdeczka, Sieniawa; Badura, Rozdzień: dr. J. Kasparek, Lwów; St. Laszkiewicz. Dębica; Z Ciechanowska, Stary Sambor; A. Rotter, Stanisławów: K Rożankowski, Szczakowa; E. Bogdalska, Koropuż: M. Rożański, Libusza; Fr Kośmider, Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał P. H. Gędłek w Tarnowie. Prosimy o nadesłanie 72 hal. na koszta przesyłki.